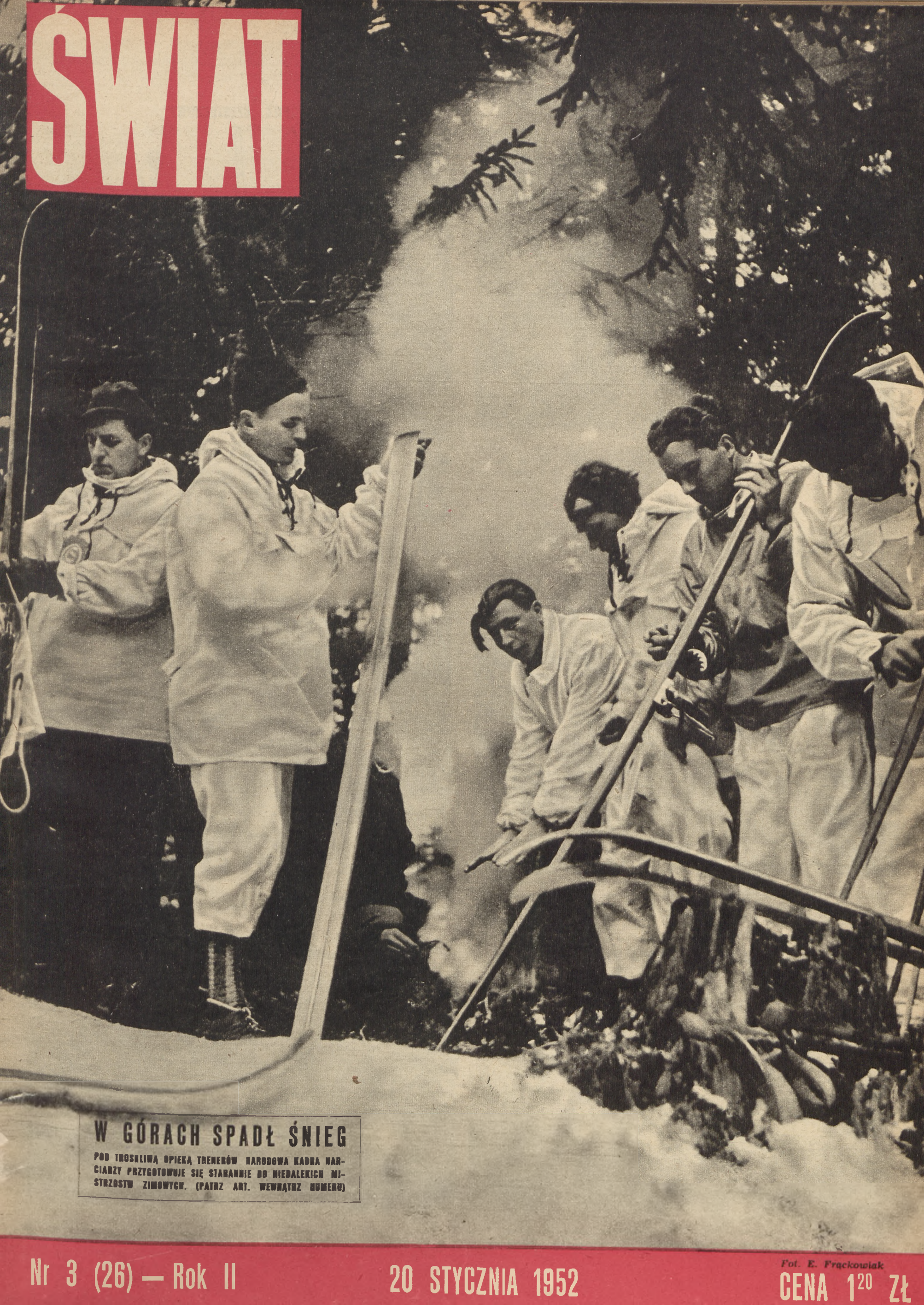


SWIAT



W GÓRACH SPADŁ ŚNIEG

POD TROSKLIWĄ OPIEKĄ TRENERÓW NARODOWA KADRA NARCIAŹY PRZYGOTOWUJE SIĘ STARANNIE DO NIEDALEKICH MISTRZOSTW ZIMOWYCH. (PATRZ ART. WENIĄTÓZ NUMERU)

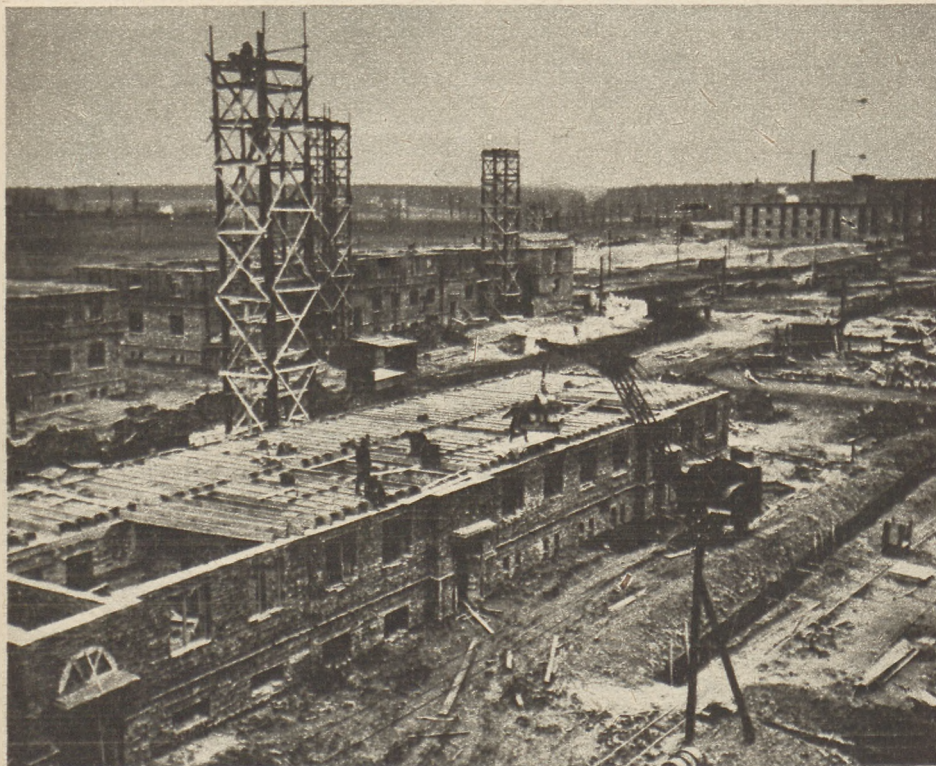
MŁODZI KOREAŃCZYCY W POLSCE



Fot. WAF

19 młodych Koreańczyków, do niedawna jeszcze walczących w szeregach Armii Ludowej przeciwko amerykańskiej agresji, przybyło na studia do Polski. Zostali oni serdecznie przyjęci przez kadetów z Korpusu im. Świerczewskiego.

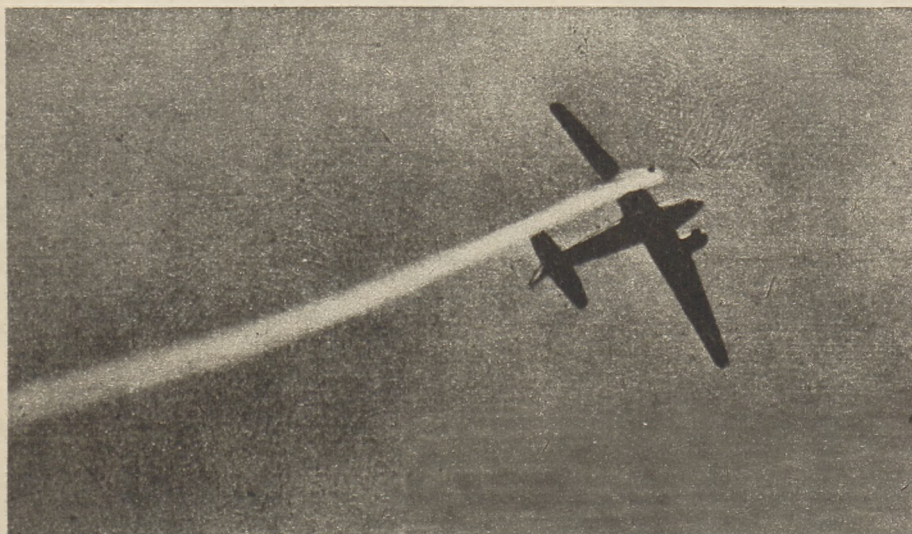
ROSNA NOWE TYCHY



Fot. CAF

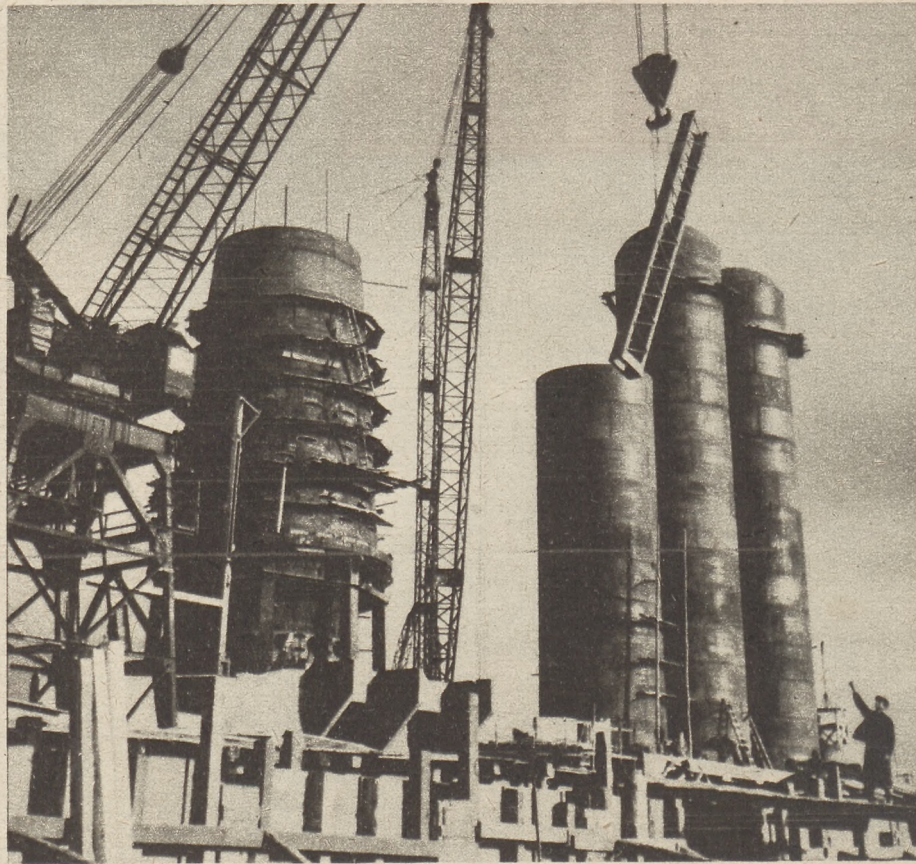
Plan budowy miasta Nowe Tychy na rok 1951 wykonano w 108 procentach. W b. r. zostanie oddanych do użytku około 1600 izb mieszkalnych, 2 przedszkola, żłobek, stacja opieki nad Matką i Dzieckiem oraz nowoczesne urządzone pralnie.

KATASTROFA LOTNICZA W USA



54 osoby postradały życie w katastrofie amerykańskiego samolotu pasażerskiego typu C-46, którego silnik zapalił się w powietrzu natychmiast po starcie. Była to największa od roku 1950 katastrofa samolotowa w Stanach Zjednoczonych.

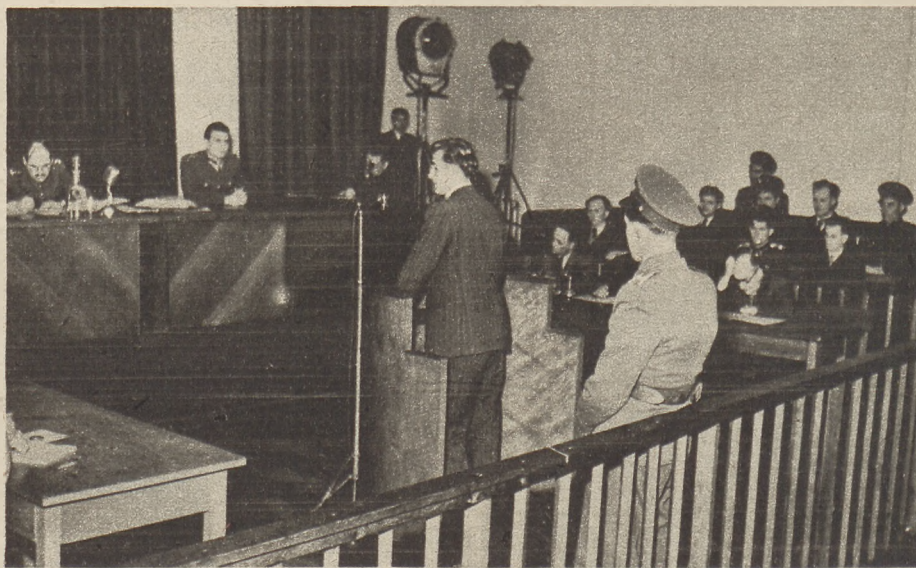
NOWY PIEC „CZĘSTOCHOWY”



Fot. CAF

Budowa huty „Częstochowa” postępuje szybko naprzód. Marteny dają już stal. Z nowobudowanego wielkiego pieca popłynie wkrótce cenna surówka.

AMERYKAŃSCY SZPIEDZY PRZED SĄDEM



Przed Sądem Wojskowym w Warszawie odbył się drugi z kolei proces agentów wywiadu amerykańskiego. Trzej oskarżeni, Bikulicz, Koj i Grieger skazani zostali na karę śmierci, pozostali dwaj, Baron i Planeta na dożywotnie więzienie.

WYBUCH WULKANU NA FILIPINACH



W grudniu 1951 nastąpił kilkakrotny wybuch wulkanu Hibok-Hibok na wyspie Camiguin, w archipelagu Filipińskim. W potokach lawy znalazło śmierć blisko 2.000 ludzi. Cała ludność wyspy w liczbie 35.000 osób została ewakuowana.

PRZECIWKO DOLAROM ZBRODNI



Unination

W wielkiej dyskusji na Zgromadzeniu Ogólnym Narodów Zjednoczonych w sprawie ustawy amerykańskiej o finansowaniu dywersji i szpiegostwa w ZSRR, Polsce i innych krajach demokratycznych, wicemin. Wierbłowski poparł wniosek radziecki, domagający się uchylenia tej prowokacyjnej ustawy.

DROGA POKOJU I JEDNOŚCI NIEMIEC



Premier NRD, Otto Grotewohl, przedłożył w Izbie Ludowej wniosek o pokojowe zjednoczenie Niemiec w drodze demokratycznych wyborów, opartych na ordynacji wyborczej, uzgodnionej przez przedstawicieli NRD i Trizonii. Uchwała Izby Ludowej odbiła się szerokim echem w całych Niemczech, ponieważ jest jedyną drogą likwidacji rozbitcia Niemiec i zabezpieczenia pokoju w Europie.

AMERYKANIE NADAL SABOTUJĄ



Keystone

Rokowania o zawieszenie broni w Korei utknęły znowu na martwym punkcie, ponieważ delegacja amerykańska odmówiła zgody na zaproponowane przez stronę koreańsko-chińską obustronne zwolnienie jeńców wojennych w Korei.



LIST MONIKI FELTON

LAUREATKI MIĘDZYNARODOWEJ NAGRODY POKOJU

Pragnę wyrazić narodowi polskiemu moje najgorętsze podziękowanie za liczne i serdeczne życzenia, jakie otrzymałam z okazji przyznania mi Międzynarodowej Stalinowskiej Nagrody Pokoju. Wiąż, łącząca mnie z narodem polskim, jest mi szczególnie droga. Zarówno dlatego, że mój udział w Światowym Ruchu Obrońców Pokoju datuje się od Kongresu Wrocławskiego, jak i dlatego, że w roku 1948 miałam możliwość zapoznać się osobiście z wspaniałym dziełem odbudowy Polski po zniszczeniach wojennych.

Nigdy też nie zapomnę, że latem r. ub. samolot, którym wracałam z Korei do Anglii, przelatywał nad Warszawą. Mogłam wtedy przez kilka minut — mając jeszcze świeżo w pamięci nieopisaną grozę wojny w Korei — zaobserwować zdumiewające postępy odbudowy Waszej stolicy.

Dla nas wszystkich, którzy spoglądaliśmy wtedy z samolotu na pokojową Warszawę, widok ten był natchnieniem do dalszej walki. Wzmógł on w nas przeświadczenie, że należy uczynić wszystko, co w naszej mocy, by zapobiec trzeciej wojnie światowej i że nie wolno szczędzić wysiłków, by przybliżyć ten dzień, kiedy bohaterki naród Korei będzie mógł przystąpić do odbudowy swych zburzonych siedzib.

Zaszczytne wyróżnienie, które przypadło mi w udziale, zwiększa jeszcze bardziej poczucie ciężącego na mnie obowiązku. Nagroda, której sama nazwa symbolizuje wolę obrony pokoju, doda nie tylko mnie, ale i całemu brytyjskiemu ruchowi pokoju, zapалу do dalszej pracy. Niechaj każdy z nas zobowiąże się uczynić w roku 1952 jeszcze większy wysiłek, by nie tylko położyć kres wojnie w Korei, ale by skierować świat na drogę rozbrojenia i stworzyć podwaliny trwałego pokoju.

O pobycie Moniki Felton w Korei pisał „ŚWIAT” w r. ub. Obecnie Redakcja nasza otrzymała od Moniki Felton powyższy list.

Imię Moniki Felton jest dobrze znane ludziom uczciwym w Anglii i na całym świecie. Miała ona bowiem odwagę rzucić w twarz mordercom dzieci i kobiet koreańskich prawdę o ich zbrodniach.

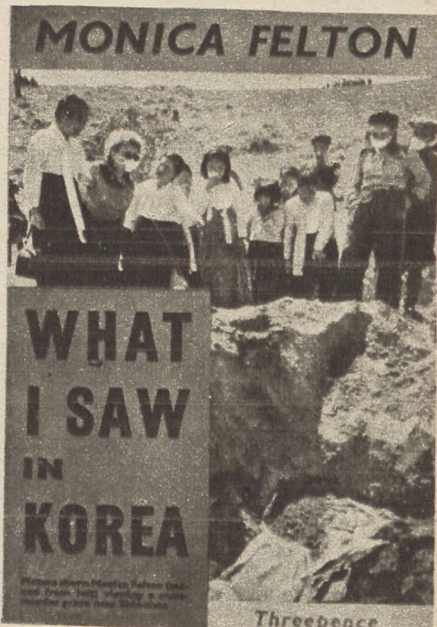
W r. ub. Monika Felton, działaczka brytyjskiej Partii Pracy, udała się jako członek komisji Światowej Demokratycznej Federacji Kobiet, do Korei. Po zapoznaniu się na miejscu z okrucieństwami amerykańskich najeźdźców i ich sojuszników, Monika Felton rozgłosiła prawdę o Korei po całym świecie.

Jej książka p.t. „Co widziałam w Korei” wywołała wstrząsające wrażenie w Anglii. Na licznych zgromadzeniach publicznych Monika Felton odśpiewała całą grozę zbrodniczej agresji przeciwko narodowi koreańskiemu. Wystąpienia te ściągnęły na nią liczne prześladowania ze strony kierownictwa Partii Pracy, oszczerstwa reakcyjnej prasy, a nawet groźbę procesu o zdradę stanu.

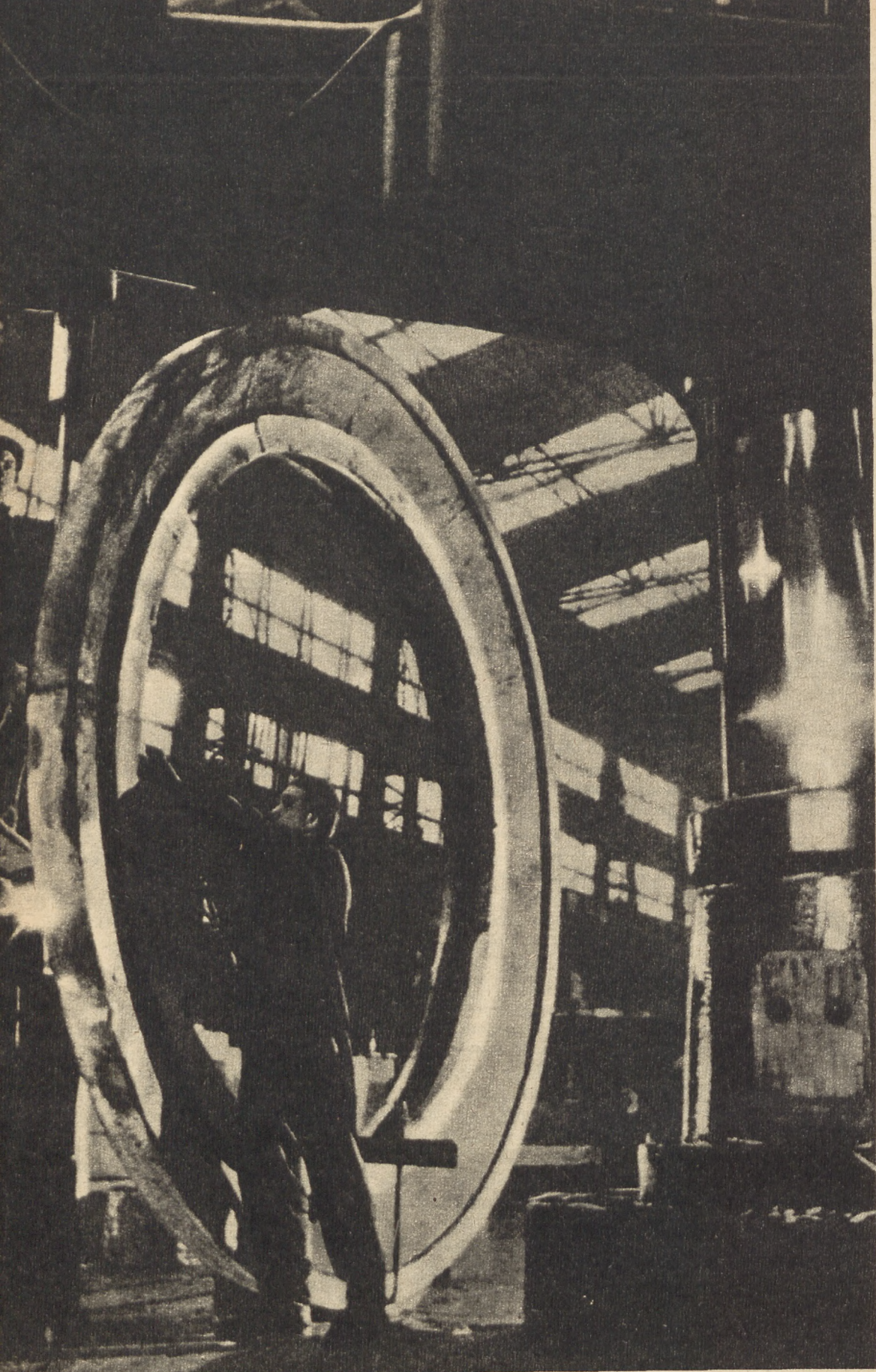
W uznaniu zasług Moniki Felton dla sprawy pokoju, została ona odznaczona Międzynarodową Stalinowską Nagrodą Pokoju.

Wraz z nią Międzynarodowe Nagrody Stalinowskie otrzymali:

- 1) prezes Chińskiej Akademii Nauk Kuo Mo-żo;
- 2) deputowany do parlamentu włoskiego Pietro Nenni;
- 3) deputowany do parlamentu japońskiego prof. Ikuro Ojama;
- 4) pisarka niemiecka Anna Seghers;
- 5) pisarz brazylijski Jorge Amado.

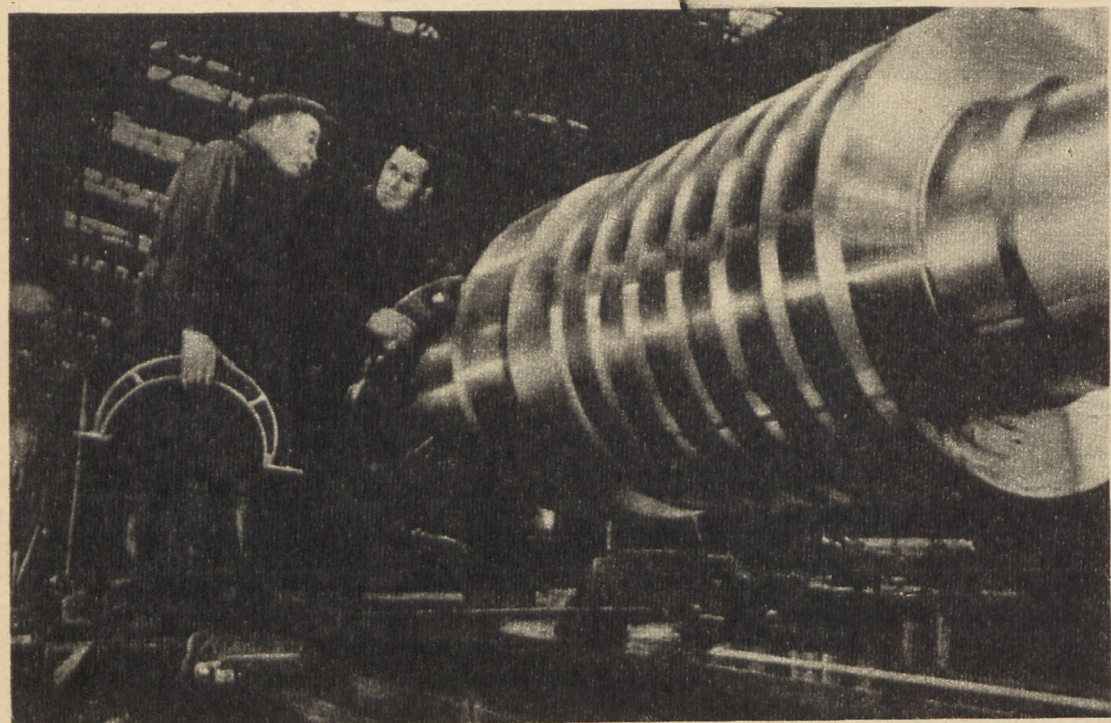


Okladka książki Moniki Felton p.t.: „Co widziałam w Korei”.



Najstarszy robotnik Zakładów, G. Melechow i tokarz-stachanowiec M. Afonaszew — przy pracy.

Obręcz jednego z cylindrów turbiny. Pracują przy niej ślusarze, Chochlaczew i Sugoniajew.



TURBINA POKOJU

IAN DĄBROWSKI

ROK był tysiąc dziewięćset trzydziesty i któryś. Na ekranie kina przy ulicy Marszałkowskiej pojawił się niezwykle bohater filmu. Stary robotnik w okularach powiązanych nitką ustawiał pionową monetę dwudziestopiętkową. Ustawiał na fundamencie puszczanej przed chwilą w ruch turbiny. „Stoit!” — wołał „Stoit!” — grzmiał jego głos, z lekka chrypką zmatowany, przez głośniki firmy „Western Electric”. Moneta stała na sztorc — a więc turbina pracowała bez najmniejszej wibracji.

I wtedy właśnie na widowni wybuchła burza oklasków.

PO SEANSIE — „BUDY”

A po skończonym seansie na entuzjastów filmu i radzieckiego budownictwa socjalistycznego czekały już „budy”, do których ładowano robotników i młodzież, wypatrzonych szczerzymi oczyma szpicli. Były to bowiem te właśnie czasy, kiedy „płoneły nam w śledczym areszcie wielkie piece Magnitogorska”.

Film nosił tytuł „Turbina 50.000”. Te 50.000 — to moc turbiny w kilowatach wytwarzanego prądu. Turbina bowiem miała za zadanie wytwarzanie energii elektrycznej, miała swoje miejsce w lenińskim równaniu: „Komunizm — to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju”.

A zatem wskaźnik mocy „50.000 KW”, osiągnięty przez radziecki przemysł budowy turbin, świętowało się gęsto na twardych narach szóstego piętra „Centralniaka”. A był to wskaźnik rzeczywiście imponujący.

POWYŻEJ 500 STOPNI

Pierwszą turbinę rosyjską wyprodukowano w Petersburgu w roku 1906. Moc jej wynosiła ...110 kilowatów. Do Rewolucji Październikowej naprodukowano tych turbin 26 o łącznej mocy 9 tysięcy KW. Później moc turbin zaczęła rosnąć wraz z potęgą pierwszego socjalistycznego państwa: 2 tysiące, 10 tysięcy, 25 tysięcy, 50 tysięcy kilowatów...

O wyprodukowanej w roku 1946 turbinie mocy 100.000 kilowatów pisał angielski miesięcznik naukowy „Mechanical Engineer”, że jest „jedyną na świecie turbiną o jednym wale, która posiada taką moc, która pracuje na tak szybkich obrotach przy tak wielkim ciśnieniu pary”.

Gdy w roku 1951 bilansowano osiągnięcia ZSRR z okazji rocznicy Wielkiego Października, padły słowa „Turbina o mocy 150.000 kilowatów”. I znowu wyprodukowały ją leningradzkie zakłady, znowu jako symbol wspólnej pracy dla socjalizmu generator dla niej dorobiły zakłady „Elektrosiła”, kotły zaś na parę wysokoprężną — fabryka w Taganrogu.

150 tysięcy kilowatów — to nie proste powiększanie rozmiarów, to nie zwyczajne mnożenie. Tej mocy maszyna pracuje na parze o temperaturze powyżej 500 stopni. Pracuje pod olbrzymim ciśnieniem. Najbardziej odporne na temperatury gatunki stali nie nadawały się na jej łopatki. Wykruszały się. Z pomocą musieli przyjść metalurgowie. Stworzyli metal godny „turbiny komunizmu”. Olbrzymie części turbiny nastroczały trudności przy obróbce. Opracowywano nową technologię. Pionierskie poszukiwania prowadzili robotnicy-stachanowcy, inżynierowie. Tak np. przy wytaczaniu jednego z cylindrów turbiny, zamiast używać gigantycznej wytaczarki poziomej, zmontowano cylinder i osadzono go pionowo na tokarni karuzelowej. „Detal” obrabiany w tej operacji miał... trzy piętra wysokości.

Sama konstrukcja turbiny — trzy cylindry niskiego, średniego i wysokiego ciśnienia, zmontowane na jednym wale — była niezwykle śmiałym rozwiązaniem. Mózg gigantycznej maszyny — regulator, oparty na zupełnie nowych zasadach — waży zaledwie 1/2 kilograma.

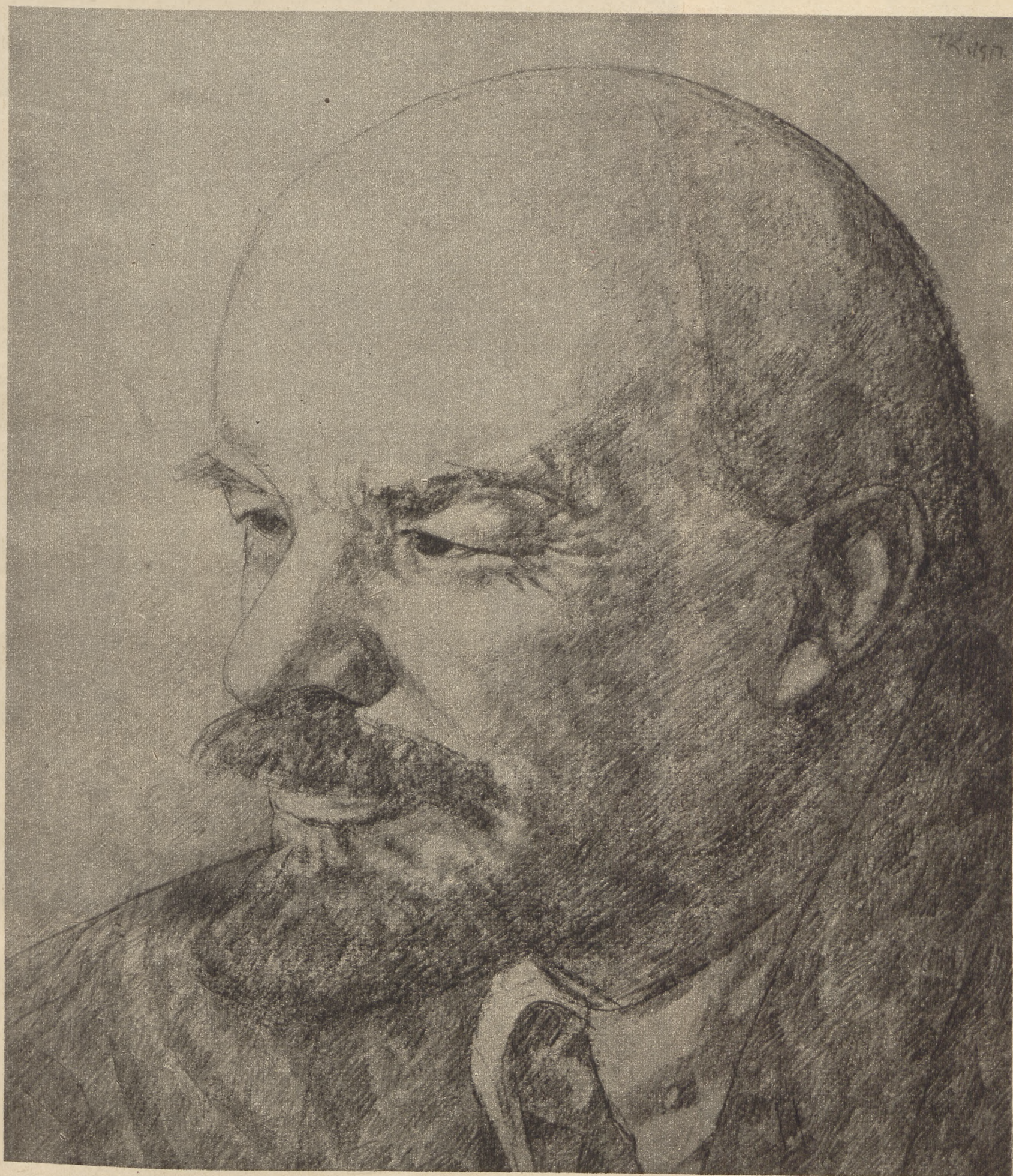
NAZWĘ DAŁ KOMSOMOLEC

Z dumą chodzi po swym warsztacie majster — tokarz Georgij Iwanowicz Melechow, który już pięćdziesiąt sześć lat pracuje w Zakładach. „Dobrze pamiętam, ileśmy się najedli biedy, gdy puszczaliśmy w ruch pierwszą turbinę. I jakież to były turbiny! — mówi. — Pierwsza turbina, którą robiłem, miała 750 kilowatów i jeszcze uważano ją za giganta... Tak, zaczynałem od 750, dożyłem do turbiny 150.000 KW”. Te cyfry — to robotniczy życiorys Melechowa, to jednocześnie dzieje radzieckiego przemysłu turbinowego.

A na Trzeciej Wszechzwiązkowej Konferencji Obrońców Pokoju komsomolec Kim Bielajew powiedział:

— Proponuję nazwać nową turbinę — turbiną pokoju.

I taka jest właśnie treść radzieckiego budownictwa. W imię pokoju powstaje najpotężniejsze.



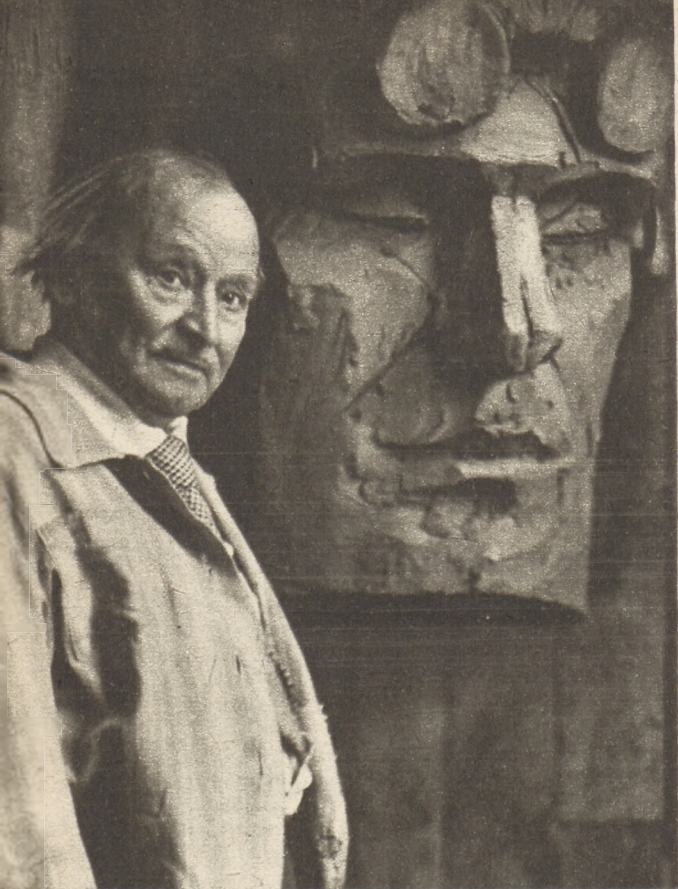
Rys T. Kulisiewicz

21 STYCZNIA 1924 ROKU ZMARŁ WŁODZIMIERZ ILJICZ LENIN

Wszystko, co w proletariacie jest zaiste wielkiego i bohaterskiego — nieustraszony umysł, żelazna, nieugięta, stanowcza, przewyciężająca wszystko wola, święta nienawiść, nienawiść śmiertelna do niewoli i ucisku, rewolucyjny zapał, który góry rusza z posad, bezgraniczna wiara w siły twórcze mas, niezwykły geniusz organizacyjny — wszystko to znalazło swoje wspaniałe ucieleśnienie w Leninie, którego imię stało się symbolem nowego świata — od zachodu do wschodu, od południa do północy.

Lenin jak nikt inny umiał dojrzeć i to, co wielkie, i to, co małe, przewidywać największe przełomy dziejowe, a równocześnie uwzględnić i wykorzystać każdy mały szczegół; umiał, gdy trzeba było, zaciekle atakować, gdy trzeba, cofać się, by gotować nowe natarcie. Obce mu były skostniałe formuły; jego mądre wszechwidzące oczy nie znały żadnych zasłon. Był bowiem urodzonym wodzem armii proletariackiej, geniuszem klasy robotniczej.

(Z komunikatu KC WKP(b) o śmierci Lenina, 22. I. 1924 r.)



Xawery Dunikowski w swej pracowni obok jednej z głowic pomnika Powstańców Śląskich i Bojowników o Wolność i Demokrację (rok 1949).



Głowica z pomnika Powstańców Śląskich.



Głowica z pomnika Powstańców Śląskich.



DOROBEK TRZECH LAT Z PRACOWNI XAWEREGO DUNIKOWSKIEGO

TRZY lata temu w Krakowie i Warszawie tłumy ludzi oglądały wystawę prac Xawerego Dunikowskiego. Tysiące oczu wpatrywały się w rzeźby wielkiego artysty, urzekające swą siłą, sugestywnością, prawdą. Artysta i człowiek miary wyjątkowej przekazał na własność narodowi dorobek swego dłuta. Rząd nasz odznaczył go orderem Budowniczego Polski Ludowej, symbolizującym wdzięczność narodu dla twórcy o niepospolitym talencie i rozmachu.

Dunikowski, niezwykle zjawisko artystycznej płodności, zadziwia nas swym intensywnym wysiłkiem twórczym. Artysta, którego sam już dorobek przeszłości stał się narodową dumą i honorem naszej plastyki — ani przez chwilę nie zaniechał pracy. W okresie trzech lat dzielących nas od wystawy jego dzieł, stworzył szereg dalszych prac ogromnej wartości.

Oto ich lista:

Szkice projektów pomników: pomnik Mickiewicza (przeznaczony dla Poznania); „Wdzięczność Armii Radzieckiej“ (dla Olsztyna); „Braterstwo“ (dla Będzina); 16 plaket na fryz do pomnika Powstańców Śląskich; 8 głowic do tegoż pomnika; maska Chopina; maska Słowackiego; 2 popiersia żołnierza radzieckiego; 10 szkiców postaci żołnierza radzieckiego; model postaci żołnierza z kolumną (2 m.); model postaci żołnierza z kolumną (6 m.); 12 płaskorzeźb do pomnika w Olsztynie; 2 popiersia-portrety.

Dunikowski ujmując w swych rzeźbach naistotniejsze i najbardziej bliskie naszej epoce cechy rzeźbionej postaci. Jego Mickiewicz to nie na piedestał wciągnięty mistyk, lecz porywający trybun, wielki demokrat, Mickiewicz „Wiosny Ludów“, rewolucjonista.

Pomnik olsztyński — to łuk tryumfalny z nowocześnie zaznaczonym architravem. Monumentalna postać żołnierza radzieckiego ze sztandarem w dłoni, niosącego narodowi polskiemu wyzwolenie narodowe i społeczne, symbolizuje przyjaźń i pomoc Kraju Socjalizmu dla Polski. Projekt będziński przedstawia górników — polskiego i radzieckiego — zestrojonych rytmem wspólnego wysiłku i celu.

Jednym z wielkich osiągnięć autora słynnych „Głów wawelskich“ jest osiem głowic na pomniku śląskim. Przedstawiają one: górnik, hutnika, murarza — ludzi budujących nową Polskę. W miejsce głów królewskich czy książęcych, dumne głowy robotników polskich wykute w granicie, wieńczą potężne pylony, podtrzymując belki architrawów.

Każdy z projektów jest inny, jeden do drugiego niepodobny. Ale każdy z nich wciela w kształt artystyczny to, co rzeczywistości naszej pomaga wzrastać i dojrzewać. Każdy z nich związany jest ideowo z naszym życiem, pełen realizmu w doborze środków artystycznego wyrazu.



MODEL KOLUMNY DO POMNIKA „WDZIĘCZNOŚĆ ARMII RADZIECKIEJ“



TWÓRCA „ANNY PROLETARIUSZKI“

PRZED kilkunastu dniami, 6 stycznia, mały urząd pocztowy na przedmieściu Pragi, w Krezu, przeżywał ciężkie chwile. Ze wszystkich stron republiki posypała się istna ulewa depesz przeznaczonych dla jednego człowieka, mieszkającego w domku numer 123, ukrytym wśród masy drzew. Telegrafistka nie mogła nadążyć z odbieraniem i naklejaniem pasków, zawierających serdeczne pozdrowienia dla Iwana Olbrachta, znakomitego pisarza, autora „Anny Proletariuszki“, „Mikołaja Szunaja“ i wielu innych utworów. Były to nie tylko telegramy od prezydenta Gottwalda, od premiera Zapotocky'ego, od przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego, od organizacji związkowych, społecznych, od załóg fabrycznych i młodzieży, ale setki depesz od nieznanych ludzi z miast i wiosek, depesze od przyjaciół z zagranicy, z Polski, ze Związku Radzieckiego.

Na miesiąc przed tą datą, z początkiem grudnia, w Teatrze Narodowym w Pradze miejsca na premierę przeróbki scenicznej „Anny Proletariuszki“ były od dawna wykupione, a ci, którzy znaleźli się na widowni, urządzili Olbrachtowi przyjęcie równające się manifestacji politycznej. Rocznicą urodzin artysty była drugą taką manifestacją. To potwierdzenie żywotności związków pisarza i jego dzieła z masami ludowymi świadczyło, że nadanie przed pięciu laty autorowi tej książki tytułu artysty ludowego było nad wyraz słuszne. Bo też masy uważały go od dawna za swego ludowego pisarza.

Jest w „Annie Proletariuszce“ taki moment, kiedy na chwilę przed starciem zrewoltowanych tłumów z policją, spotykają się ze sobą: Anna, wówczas już żona metalowca-komunisty Krouskiego, z córką jej dawnego „chlebodawcy“, kanalii spod ciemnej gwiazdy, panią Dadlą, która niedawno wyszła za mąż za jednego z tuzów czeskiego kapitalizmu. Wytworna pani „ostrzega“ Annę, żeby lepiej zabrała męża i uciekała do domu, bo w mieście będą strzelać. A na to proletariuszka, która dojrzała w mównicę swego nieubłaganego wroga klasowego, „zaczęły się zmieniać modre oczy. Zniknął z nich strach i stały się one twarde i pałające. Usta jej przedtem nieśmiałe, wyrzekły teraz twardo i wrogo: — Będziecie do nas strzelać? My do was także, pani. — I oczy jej rozgorzały. Odwróciła się i odeszła“.

W kilkanaście lat później Anna i Tonik pokazali tylko zamkniętą groźnie pięść. — Zwycięstwo zostało przed czterema laty bezapelacyjnie odniesione.

Miała ta książka ciekawe losy. W latach międzywojennych znienawidzona przez reakcję, była ze szczególną zawziętością tępiona wszelkimi środkami, bojkotowana przez księgarnie, zaciekle niszczona przez okupanta hitlerowskiego, który jej przekłady na język niemiecki spalił na stosach już w październiku styczniu 1933 r. razem z książkami innych postępowych autorów. Daremnie.

Tonik i Anna żyją wieczną młodością i używają jej 70-letniemu Iwanowi Olbrachtowi, a dzieło pisarza pomaga budującym socjalizm. I to nie tylko w Czechosłowacji. W Polsce, w ciągu trzech lat, książka ta miała pięć wydań. Zna ją tokarz ze szkoły wieczorowej, robotnica w PGR-ze, szofer autobusu warszawskiego. Niemal dwieście tysięcy egzemplarzy polskich wydań rozeszło się zupełnie!

ST. DĘBSKI



TAK JEST NA KUBIE

NICOLAS GUILLEN

Poeta kubański Nicolas Guillen przebywał niedawno w Polsce jako przedstawiciel Światowej Rady Pokoju w związku z wręczeniem nagrody pokoju Wandzie Jakubowskiej. Na prośbę Redakcji „Świata“, Guillen napisał poniższy artykuł na temat walki o pokój, która toczy się w jego kraju. Guillen ma za sobą piękny dorobek literacki. Z ważniejszych jego utworów wyliczyć należy: cykl „Spółka Akcyjna Zachodnich Indii“, poemat pt. „Hiszpania, poemat o czterech Troskach i jednej Nadziei“, „Prawdziwy son“ oraz poemat poświęcony pamięci Jezusa Menendesa — pierwszego przewodniczącego Kubańskiej Socjalistycznej Partii Ludowej, zamordowanego przez zbirów z amerykańskiej policji. Nicolas Guillen wnosi nowe poważne wartości do kultury swego młodego narodu, o którego przyszłość walczy zarówno jako poeta jak i działacz polityczny.



Chyba niewielu Polaków wie, że jeden z ich rodaków, nazwiskiem Karol Rolow był generałem w ostatniej wojnie, jaką wiedli Kubańczycy o wyzwolenie kraju spod ucisku monarchii hiszpańskiej w latach 1895—98. Rolow, który wszedł do naszej historii jako bohater narodowy, zmarł po proklamacji Republiki, przy której tworzeniu odegrał wielką rolę.

Był to człowiek niskiego wzrostu, z bródką, o sympatycznej powierzchowności i zachowaniu. Brał potem udział w życiu politycznym Kuby i dotąd żyje we wspomnieniach ludu, jako płomienny mówca i obrońca interesów prostych ludzi. Pod pieczęcią Rolowa znajdowały się spisy żołnierzy Wyzwoleńczej Armii Kubańskiej, i po dziś dzień weterani owej wojny, ubiegający się o rentę za udział w walkach o niepodległość, powołują się na „listę Rolowa“.

W procesie organizowania się Komunistycznej Partii Kuby, w roku 1925 odegrał poważną rolę inny Polak, Grobart. Dziś Grobart jest osobistością cieszącą się ogromnym szacunkiem i popularnością wśród kubańskiego ludu.

Chciałem przez te dwa fakty powiedzieć, że imię Polski jest nam dobrze znane i bliskie.

A co Polacy wiedzą o Kubie? Mam wrażenie, że niewiele.

Lud kubański jest ludem, który tak, jak wasz, bardzo wiele krwi przelał, aby zrzucić cudzoziemskie jarzmo. Walka ta nie ustała. W roku 1898 Kuba uzyskała „niepodległość“. W rze-

czywistości ojczyzna nasza przeszła wtedy z rąk hiszpańskich w ręce imperializmu północno-amerykańskiego, który zawładnął całą naszą gospodarką, a przede wszystkim opanował najważniejszy dla nas przemysł cukrowy.

Oficjalnie Kuba jest republiką typu pół-parlamentarnego: ma swój sztandar, swój hymn narodowy, wojsko (zresztą nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do potrzeb kraju) ma swój senat, izbę posłów, ma premiera, prezydenta i wiceprezydenta... A jednak w świetle faktów to jest tylko forma. Bo w istocie Jankesi mieszkają w sprawy wewnętrzne na-

szego kraju w sposób nawet nie zamaskowany.

Imperializm północno-amerykański zabrania Kubie utrzymywania stosunków handlowych ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej; imperializm północno-amerykański popiera w naszym kraju reakcyjnych prezydentów, najposłusznieszych wykonawców rozkazów Stanów Zjednoczonych.

Obecny rząd kubański, rząd Prio Socarrasa, wybrany w 1948 roku tylko wobec braku jedności wśród partii opozycyjnych, jest bardzo niepopularny w masach wskutek antynarodowej polityki i korupcji panującej w urzędach państwowych. Ludzie „u zło- bu“ z nieprawdopodobną szybkością zbijają kolosalne majątki: ci, którzy przed trzema laty byli niezamożni, dziś odkładają do banków miliony dolarów.

Równocześnie nikt nie czuwa nad porządkiem publicznym; mnożą się mordy indywidualne, które przechodzą bezkarnie. Redakcja poczytnej gazety „Hoy“ (organ Partii Komunistycznej) została bezprawnie zamknięta przez policję w roku 1950. Redakcja zaskarżyła do sądu policję — w rok później sąd zmuszony był zarządzić oddanie drukarni prawym



Rok 1896: powstańcy kubańscy, którzy podjęli walkę przeciw Hiszpanom.

ROZMOWA O MURZYNIE

NICOLAS GUILLEN

Wiersz napisany w Warszawie
10 grudnia 1951 r.

Rozmawiałem z gołąbkim,
który latał nad New Yorkiem:
choć latał wysoko
nie widział wokół
ni gwiazdy, ni żadnego kwiatu.
Tylko kamień i dym
i dym i ołów
i ołów i płomień
i płomień i kamień i ołów i dym
wszędzie był.

— Gołąbku, czyś nie widział
we łzach Murzyna?

— Nie.

— Czy Murzyn śpiewał?

— Tak.

Gdy ujrzał mnie,
pozdrowił.
Głos nastroił
i zaśpiewał tak:

— Mam ja kawałek marzenia,
gołąbku,
dostałem go od marzyciela;
z tego marzenia, gołąbku
wytnę i rzucę w świat
gwiazdę i kwiat.

(Gwiazdę i cały jej blask
i cały blask, jaki ma kwiat).

— Mam ja kawałek piosenki,
gołąbku,

od śpiewaka go dostałem;
z tej piosenki, gołąbku,
złożyć chce
hymn i śpiew.

(Hymn będzie przeciw lynchowi,
śpiew ma służyć pokojowi).

— Mam ja kawałek żelaza,
gołąbku,

dostałem go od kowala;
z tego żelaza, gołąbku,
ot, jaki robię sprzęt:
miot i sierp.

(Kuje młotem, kuje,
sierpem tnę i tnę!)

Przekład Zofii Szleyen

właścicielom, co nastąpiło w sierpniu 1951 r. W kilka tygodni potem do drukarni wpadła banda gangsterów. Bandyci poniszczyli urządzenia, przy czyniając strat na ok. 70 tysięcy dolarów. Policja nie zainteresowała się napastnikami, nie wszczęła nawet poszukiwań.

Rząd zdelegalizował lewicowe „Związki Zawodowe (Confederacion de Trabajadores) i utworzył posłuszną sobie centralę „związków zawodowych“, których przywódcy są narzuceni przez ministra pracy.

W obliczu tych wszystkich faktów lud organizuje się do walki. Partia Komunistyczna na kongresie w dniu 11 listopada ubiegłego roku rzuciła hasło jednolitego frontu walki wszystkich sił opozycyjnych. Wobec zjednoczonych sił ludowych nie ostoja się rząd obecnego typu (wybory przewidziane są na 1-go czerwca b. r.).

Walka o pokój toczy się na Kubie bardzo energicznie, tak, że mimo nacisku Jankesów, nie zdołano wysłać na Koreę ani jednego kubańskiego żołnierza. Pod apelem o pakt pokoju między pięcioma mocarstwami zebrano ponad 800 tysięcy podpisów, co przy ogólnej liczbie mieszkańców, sięgającej 5-ciu milionów i przy rządzie, który każdą akcję podjętą w obronie pokoju uważa za przestępstwo polityczne — musi być uważane za wielkie osiągnięcie.

Lud nasz ma perspektywę zwycięstwa, jeśli zjednoczą się wszystkie jego siły. W tym wypadku nie tylko zdoła on obalić obecny rząd (najbardziej skorumpowany od czasu istnienia Republiki), ale potrafi wybrać rząd prawdziwie demokratyczny, uczciwy, zdolny do podjęcia czekających go wielkich zadań demokratyzacji kraju, w myśl idei, jakie przyświecały walczącym o niepodległość kubańskim patriotom.

ZIMA

w Zakopanem

JANUSZ MEISSNER

PYTANIE jaka będzie tegoroczna zima spędza sen z oczu zajadłym narciarzom i niepokoi nawet niektórych zakopiańczyków, jakkolwiek ci ostatni jeżdżą na nartach znacznie mniej niż sezonowi przybysze. Taki zakopianiec ma bowiem wymagania: idzie na narty wtedy, gdy jest lekki mroźnik, cisza, słońce i doskonały śnieg. Lecz oczekiwanie na te idealne warunki staje się zawodne. Podobno „oś ziemską kiwa się” i zimy będą coraz łagodniejsze...

Takie „kiwnięcie się” osi naszego globu przypada raz na kilkadziesiąt tysięcy lat, trzeba więc mieć szczególnego pecha, żeby się to właśnie zdarzyło w roku 1952, nie zaś w 2591 na przykład!

Uczeni nie są bynajmniej pewni, czy istotnie czeka nas zmiana klimatu na śródlądowym. Wczasowicze i turyści uciekają się do przepowiedni góralskich. A przepowiednie — jak przepowiednie — raz po raz zawodzą i zmieniają się z każdym przymrozkiem lub halnym.

Raz więc ma być zima lekka, raz tęga, sucha, to znów śnieżna i — wszystko dzieje się właśnie na odwrót... Najlepiej jeszcze spisała się św. Barbara, która — podobno — ma przywilej rządzenia pogodą świąteczną: nie była ani „po lodzie”, ani „po wodzie” i tak też zaczął się okres świąt — ni to, ni owo...

KOGO ZASKOCZYŁA ZIMA

Natomiast zupełnie pewnie i niezawodnie piętnastego grudnia zaczął się w Zakopanem pełny sezon zimowy, poprzedzony już wcześniej zjazdem gości ze wszystkich stron Polski.

Żeby to przewidzieć, nie trzeba się uciekać do żadnych przepowiedni. Tak bywa co roku: zaczynają się turnusy wczasów i Orbisu, masowe kursy narciarskie obozy, wycieczki; ruszają kołowe linie na Kasprowy i Gubałówkę, ożywają się górskie schroniska. Wreszcie budzi się także z chronicznej drzemki biurokratycznej Miejska Rada Narodowa, po to, by stwierdzić, że za późno wzięto się do remontów gospód, kawiarni i barów mlecznych, które były otwarte przez cały listopad i świeciły wówczas pustkami, a na które tęsknie spoglądają przyjezdni, bo właśnie ten remont...

Miejska Rada Narodowa budzi się zresztą tylko na chwilę: otwiera jedno oko i co prędzej je zamyka — zapewne, aby nie widzieć straszliwych

dziur i lodowcowych wertepów na Krupówkach zalanych morzem błota, w którym brodzą turyści, wczasowicze i tubylcy — ci ostatni obłożeni wysokim podatkiem miejskim „na sprzątanie ulic”.

Miejscowe władze PKS-u też zostały „zaskoczone” zimą. Oto na wiosnę roku ubiegłego zaplanowano nie byle jaką inwestycję na zakopiańskim dworcu autobusowym, który swym wyglądem i rozmiarami przypomina niewielki, ale za to kiepski kurnik, a mianowicie jego rozbudowę! To nie znaczy oczywiście, żeby zaraz miała tam powstać poczekalnia, bufet, przechowalnia bagażu, kasa w której można kupić bilet nie stojąc pod gołym niebem. Nie, takich wygórowanych ambicji PKS nie miał. Chodziło natomiast o pewną ubikację, bez której znakomicie obchodzą się róże, bzy i konwale, ale bez której niestety nie mogą się obejść ludzie. Ale jakoś nic z tego nie wyszło...

SPRZYMIERZEŃCY LITERATÓW

Mimo tych „drobnych niedociągnięć”, mimo kapryśnej pogody. Zakopane aż kipi od przyjezdnych. Węgierscy narciarze (jest ich około pięciuset) chodzą grupami, żeby się nie pogubić wśród Polaków, z którymi można się dogadać tylko na migi — żaden z nich nie umie po węgiersku. Dobry pomysł ustawienia drogowisk do domów FWP nie trafił do przekonania Orbisowi, więc Węgrzy pielgrzymują od Kamieńca po Bystre i od Antałówki po Kasprusie szukając swych pensjonatów, których nazwy tak przekręcają, że niesposób je zidentyfikować. Otacza ich zresztą ogólna sympatia i zawsze w końcu ktoś ich odprowadzi lub odwiezie na właściwą kwaterę. Tym sposobem nawiązują się bliższe kontakty międzynarodowe. Zwłaszcza między osobnikami różnej płci...

Przyjechali na dobrze zasłużony odpoczynek robotnicy, górnicy, hutnicy, pracownicy umysłowi, nauczyciele. Przyjechało sporo pisarzy — Breza, Dygat, Iwaszkiewicz, Krzywicka, Matuzewski, Minkiewicz, Rudnicki.

Referat Kulturalno - Oświatowy FWP ustosunkował się pozytywnie do literatów i zaprasza ich do swych domów wypoczynkowych na wieczory autorskie które mają wielkie powodzenie. Nikt tam już nie chce teraz słyszeć o gościnnych występach „Arto-sa”. Wieczory Minkiewicza, Broniew-



skiego, Otwinowskiego, Lewina, Szelburg-Zarembiny, Brezy i innych pisarzy zrobiły swoje. Publiczność wczasowa woli wysłuchać recytacji dobrego wiersza, fragmentu prozy lub dramatu, który czyta autor. Woli z tym autorem podyskutować i dowiedzieć się z jego ust o pracy twórczej, niż patrzeć na kiepskie występy estradowe.

Duża w tym zasługa kierownika tu-tejszej dyrekcji Funduszu Wczasów Pracowniczych, który umiał należyć zorganizować swój dział pracy. Na pięćdziesiąt cztery domy wczasowe jest tu dwudziestu instruktorów, którzy kierują imprezami kulturalnymi urządzanymi przez wczasowiczów we własnym zakresie. Poza tymi amatorskimi imprezami w ubiegłym sezonie letnim odbyło się sto dwadzieścia masowych odczytów Tow. Wiedzy Powszechnej, pogadanek krajoznawczych, koncertów zespołu Orlanda uzupełnionych prelekcjami, przedstawień zakopiańskiego teatru amatorskiego, występów świetlicowych zespołu hutników ze Śląska i literackich wieczorów autorskich.

ŚNIEG JUŻ SYPIE!

Wróćmy jednak na Krupówki (najlepiej w nieprzemakalnym obuwiu i z kijkiem narciarskim w prawicy).

W Biurze Obsługi Turystów — pełno. Przyjmują tam zapisy na kursy narciarskie, informują, wskazują noclegi i kwatery, wypożyczają sprzęt sportowy, przydzielają instruktorów. Na wystawie PTTK — tłok jak w barze rybnym. Po rozmokłym śniegu na jezdniach płyną saneczki, jak jednokonne gondole, autobusy naszpikowane nartami wzbijają fontanny tryskające spod kół. W sali teatralnej „Morskiego Oka”, przypominającej zaniedbaną stodołę, każde widowisko ściąga tłumy.

Wprawdzie masowe kursy narciarskie uciekły przed odwilżą w góry,

gdzie szalonym powodzeniem cieszy się nowa nartostrada z Hali Gąsienicowej do Jaszczurówki, wprawdzie już zaczęły się skoki na Krokwi, lecz mimo to w mieście jest tłoczno i gwar-no. Najwięcej widać młodzieży. Czerwone krawaty ZMP, narciarze i narciarki z odznakami klubów na swetrach, wycieczki szkolne, chłopcy i dziewczęta z obozów sportowych. Wszystko to gada, nawołuje się, goni, pęka ze śmiechu.

Jedyną ich troskę stanowią teraz warunki śnieżne w górach. Te są na szczęście dobre. Barometr wprawdzie spada, lecz i termometr idzie z nim w zawody: będzie mroźnik, a świeży śnieg już sypie!

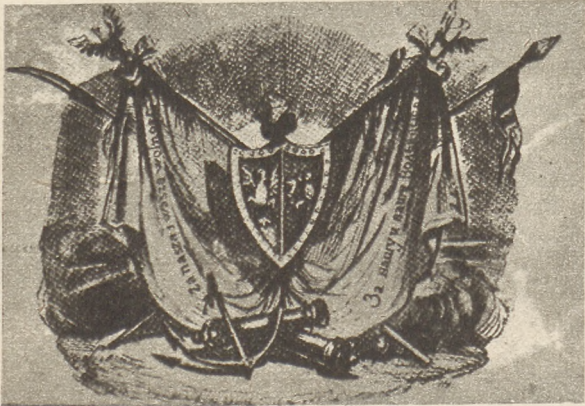
Fot. W. Prażuch i E. Frąckowiak



ŚWIAT przypomina!

„Za wolność waszą i naszą“

Autorem tego hasła jest wielki uczyony — historyk polski i wielki działacz demokratyczny — Joachim Lelewel. Jako członek Rządu Narodowego w roku 1831 doprowadził do sporządzenia proporców z hasłem „Za wolność waszą i naszą“, wypisanym w językach polskim i rosyjskim, które to proporce wręczone były przez polskie strażę przednie żołnierzom rosyjskim.



„Za naszą i waszą wolność“.
Winieta z „Orla Białego“. Rok 1839.

Lelewel również był autorem projektu odezwy do narodu rosyjskiego, w której pisał m. in.:

„My, sejmujące wolnie, obie Izby, oświadczamy w obliczu Boga i ludzi, że nic nie mamy do narodu rosyjskiego, że nigdy na jego czołach i bezpieczeństwie nie nastawiamy myśli: pragniemy z nim w braterskiej zgodzie zostawać i w braterskie związki wchodzić, czynić mu przysługi, jakich spólny interes obu narodów potrzebuje, do jakich każdy naród wolny z postępem świata jest powołany“.

Symboliczny pogrzeb dekabrystów w Warszawie

W OSTATNIM numerze z zeszłego roku „Świat“ przypominał o powstaniu dekabrystów. Wspomnieć także należy o symbolicznym pogrzebie przywódców powstania grudniowego z roku 1825, zorganizowanym przez żywoły rewolucyjne powstańczej Warszawy w roku 1831. Píše o tym Mochacki w swej książce pt. „Powstanie narodu polskiego“:

„Zajaśniał dzień 25 stycznia. Dzień ze wszech miar pamiętny, w którym lud warszawski święcił pamięć nieżywych Rosjan, Pestela i Rylejewa, republikanów, a Sejm żywego składał z tronu króla Mikołaja. Detronizacja i pogrzeb: dwa obrzędy, dwie ceremonie, razem dopełnione, a zarówno bezskuteczne, bo ani rzeczpospolita Pestela, ani odwieczna rzeczpospolita polska na rozwałkach moskiewskiego caratu w Słowiańszczyźnie zakwitnąć jeszcze nie miały. Od rana posłowie izby a lud rynki i place zapelniał. Uroczystość uliczna była również wspaniała, jak sejmowe tego dnia obrady. Członkowie Gwardii Akademickiej, ci mianowicie, którzy przed dniem 29 listopada w więzieniu u Karmelitów osadzeni zostali, nieśli trumnę na karabinach na krzyż złożonych. Trumna była czarna; leżał na

niej wieniec laurowy spleciony trójkolorowymi kokardami. Na pięciu tarczach jaśniały wielkie imiona: Rylejewa, Bestużewa-Riumina, Pestela, Murawiova Apostoła i Kachowskiego. Orszak ruszył z Pałacu Kazimierskiego. Na żałobnym wezgłowie zamiast korony lub orderów szła przodem trójkolorowa kokarda, godło europejskiej wolności. Niósł ją młody kapitan Gwardii. Dalej szło trzech innych kapitanów, niedawno uczniów Uniwersytetu. To byli mistrzowie ceremonii; tuż za nimi ze spuszczoną na pogrzeb bronią postępował oddział akademików, przed kilku jeszcze dniami pretorianów dyktatury, — w pośrodku nich powiewał przewiązany krepą błękitny sztandar Uniwersytetu. Za trumną ciągnęło kilka oddziałów Gwardii. Wielkie masy ludu około użyczały pogrzebowi temu pozorowi emeuty. Niezliczona publiczność różnego stanu i płci napełniała ulice i okna mieszkań, których orszak przechodził. Towarzyszyło mu w porządku kilkudziesięciu oficerów Gwardii Narodowej, tudzież oddział wolnych strzelców pod dowództwem pułkownika Gerycza. W pochodzie ku orientalnej kaplicy na Podwalu, gdzie duchowieństwo obrządku greckokatolickiego odprawiało nabożeństwo żałobne, orszak zatrzymał się u kolumny Zygmunta... Orszak wraz z ludem obszedł ulice Senatorską, Miodową, Długą, ruszył przez Leszno do Karmelitów; nareszcie przez dziedziniec Saski, co chwila przez mówców zatrzymywany, wrócił do sali Towarzystwa Patriotycznego...“

* * *

„Merkury — Dziennik Polityczny, Handlowy i Literacki“ w numerze 41 z dnia 27 stycznia 1831 roku donosił:

„Powszechnem jest życzenie, aby opis szlacheckiego obrzędu żałobnego za poległych w sprawie wolności Rosjan, w dniu onegdajszym odbytego, w języku rosyjskim był ułożony, a razem i w zagranicznych gazetach zamieszczony. Niech dowód wspólności uczuć naszych i życzeń zatrze wszelkie ślady narodowej niechęci i przekona Europę, iż nie lud z ludem walczyć będzie, lecz że ludzie wolni przeciw służalcem tyranów powstał“.

Sienkiewicz wczoraj i dziś



„Przebiegło lat 15 od śmierci pisarza, który wszak też był „kochaniem wieku“, bieg pracy naukowej i literackiej po wojnie wszedł jako-tako na normalny tor, a przecież w historii literackiej naszej nie jeszcze nie słychać o monografii, jaka się przynależy wielkiemu twórcy. Żebyż to jedno tylko zaniedbanie! Gorzej jest, że brak nam wydania zbiorowego pism Sienkiewicza, brak też ludowego wydania wybranych utworów w opracowaniu, udostępniającym ich lekturę szerokim masom...“ — tak pisał prof. Stanisław Pigoń w styczniu 1932 roku.

W numerze 49 „Nowej Kultury“ z 1951 r. poświęconym Henrykowi Sienkiewiczowi w 35 rocznicę śmierci, czytamy w artykule prof. Juliana Krzyżanowskiego:

„Końca dobiega właśnie zbiorowe wydanie „Dzieł“ Sienkiewicza, rozpoczęte w 1948 r. przez Państwowy Instytut Wydawniczy, a przynoszące w 56 tomach niemal całość spuścizny pisarskiej twórcy „Krzyżaków“.

Z tego samego artykułu dowiadujemy się, że w opracowaniu znajduje się bibliografia sienkiewicza. Dowiadujemy się także, że od listopada 1947 do grudnia 1950 roku pojawiło się u nas 1.018.000 egzemplarzy utworów Sienkiewicza.

KARIERA PLATYNY

W IADRO piasku ze zwirem wysypano na wielką drewnianą szufłę. Następnie puszczone na to strumień wody. Silny prąd porywał najpierw drobne ziarna piasku, potem i żwir. Tu i ówdzie pod powierzchnią wody migotały żółtawe błyski. Wreszcie łapczywe ręce poszukiwaczy złota wybrały pozostałe jeszcze kamyczki — i na matowej szufli pozostały niewielkie, błyszczące ziarenka szlachetnego metalu. Złoto! Szczęśliwy znalazca chciał już przesytać zdobycz do skórzanego woreczka, gdy nagle uwagę jego zwróciły ziarenka i kryształiki innego, srebrzyście-szarego metalu. Był on nie mniej ciężki niż złoto, gdyż nie zmył go strumień wody. Cóż to za diabeł?

Poszukiwacze złota próbowali nowy metal kuć — kruszył się. Usiłovali go przetopić — nie topił się w najgorętszym płomieniu. Dziwny jakiś, bezużyteczny metal... I odkrywcy — hiszpańscy awanturnicy w Kolumbii — ochrzczili nowy metal pogardliwą nazwą „sreberko“ (po hiszpańsku — „platina“).

Działo się to równo trzysta lat temu, w roku 1652.

Niewesoły był początek kariery nowoodkrytego metalu. Alchemicy hiszpańscy w Ameryce Południowej, którzy bezskutecznie usiłowali go „rozgrzeć“, orzekli, że to bezużyteczne zanieczyszczenie złota. Zaniepokoiło to dwór hiszpański. Jak to, złoto, otrzymywane regularnie z kolonii, ma być zanieczyszczone jakimś tam „sreberkiem“? I na drugą stronę Atlantyku powędrowało rozporządzenie: całą znaną platynę należy starannie oddzielać od złota i pod nadzorem urzędników państwowych topić w najgłębszych rzekach.

Dopiero w roku 1735, za zgodą monarchy, przewieziono do Europy pierwsze próbki platyny — wyłącznie do celów badawczych. Nowym metalem zajęli się alchemicy. Wiedzieli już oni, że platyna jest cięższa od złota i rozumowali tak: jeżeli platynę stopić z innym, lżejszym metalem o żółtym zabarwieniu (tzn. z miedzią), otrzymany stop może być tylko złotem. A więc — do roboty!

„Sreberkiem“ zajęli się dziesiątki badaczy. W roku 1772 udało się uzyskać pierwszy drucik platynowy, a wkrótce potem — stop platyny z miedzią. Niestety — nie był on złotem... Ale dwór hiszpański tym się nie przejął: w roku 1778, w myśl nowego rozporządzenia, należało całą znaną platynę przysyłać do madryckiej mennicy, która zaczęła używać platyny do... fałszowania złotych monet.

Właściwy początek kariery platyny przypada na lata 1810 — 1820. W tym czasie uczeni w różnych krajach zbadali własności platyny i zastosowali ją w praktyce laboratoryjnej. Równocześnie Kolumbia przestała być jedynym dostawcą tego metalu: w r. 1819 znaleziono złoża platyny na Uralu. Były one tak bogate, że dawały do 100 pudów platyny rocznie, pozostawiając Kolumbię daleko w tyle. Wkrótce potem odkryto platynę i w innych krajach: w Kanadzie, Abisynii, na Borneo.

Obecnie platyna używana jest do wyrobu przyborów laboratoryjnych, niezbędna jest przy produkcji precyzyjnych aparatów pomiarowych. Coraz większe zapotrzebowanie na platynę i jej stopy zgłasza przemysł chemiczny (zwłaszcza dla produkcji kwasu siarkowego) oraz elektrotechniczny. Z platyny wyrabia się ostrza niektórych narzędzi chirurgicznych. Sole platyny znalazły ostatnio zastosowanie w przemyśle fotograficznym oraz przy wyrabianiu szlachetnych barwników do porcelany.

Najpobieżniejszy nawet przegląd zastosowań platyny pokazuje, jak pożyteczne jest dziś pogardzane niegdyś „sreberko“. Dlatego bardzo wymowny jest następujący fakt: w krajach kapitalistycznych 70% wydobywanej platyny zużywa się do produkcji... biżuterii. Poważny „głód platynowy“ odczuwa przemysł amerykański. Rząd USA nie może jednak temu zaradzić, gdyż zależny jest całkowicie od mężów odbiorczyń platynowej biżuterii. Ostatnio w Kongresie była nawet mowa o wyrywaniu platynowych koron i zębów ze szczęk nieboszczyków...

Cóż jeszcze można o platynie powiedzieć? Że topi się przy 1771°C, że ma ciężar właściwy 21,4, no i że jest obecnie seniorem większej rodziniki, do której należą: iryd, osm, wuten, pallad i rod.

P. S. Tak zwane „platynowe blondynki“ poza podobieństwem barwy włosów nic wspólnego z platyną nie mają.

E. K.



Medalion dekabrystów straconych po upadku powstania. Od lewej: Pestel, Rylejew, Bestużew, Murawjow, Kachowski.



Kapitałna scena z filmu „Niedźwiedź”, zrealizowanego na podstawie humoreski Antoniego Czechowa.

Główni wykonawcy: O. Androwska (Wdówka Popowa) i M. Żarow (obywatel ziemski Smirnow).



Film bułgarski „Alarm” przedstawia dzieje rodziny Łazarowych. Na zdjęciu syn W. Łazarowa — Borys.

EKRAN I WIDZ

POD ZNAKIEM KOMEDII

PROGRAM naszych kin jest w tym tygodniu bardzo urozmaicony: spotkały się w nim niemal wszystkie rodzaje filmów: od problemowych dramatów poprzez komedie o poważniejszym podkładzie i piękne filmy dokumentalne aż do lekkich, wesołych filmów. Mamy filmy długometrażowe i jedną z pierwszych prób skomponowania programu z trzech średniometrażówek.

RADOSNE SPOTKANIE

Scenariusz: Narsanidze. Reżyseria: Saniszwili. Zdjęcia: Kandelaki. Muzyka: A. Kereselidze. Wytwórnia w Tbilisi.

Wytwórnie filmowe radzieckie mają znacznie więcej możliwości, niż wszystkie inne wytwórnie świata: mogą one ukazywać filmy tak bardzo różnorodne obyczajowo i pod tak różnym niebem zrodzone. Dla widza polskiego wiele filmów z nieznanym mu krajów radzieckich ma szczególnie urok. Do takich filmów należy gruziński film „Radosne spotkanie”. Sam fakt, że dzieje się on na nieznanym nam plantacjach herbaty, będących bogactwem dwu sąsiadujących ze sobą kołchozów, przenosi nas jak gdyby w całkiem inny świat.

W pięknym malowniczym zakątku Gruzji rozgrywa się akcja tego pogodnego filmu. Pełna nieporozumień i przeszkód miłość dwojga ludzi, zakończona radosnym pogodzeniem, spleta się z współzawodnictwem dwóch kołchozów o lepsze zbiory herbaty.

W imię ważkiego problemu społecznego pokazanego w tym filmie, prostoty gry prześlicznych dziewcząt i chłopców gruzińskich oraz świetnie odmalowanych szczegółów obyczajowych, można wybaczyć scenariuszowi filmu cechującą go w samej treści pewną banalną schematyczność. Uwidocznia się ona zwłaszcza, gdy chodzi o spiętrzenie trudności rozdzielających dwoje zakochanych.

NIEDŹWIEDŹ

Scenariusz: według sztuki A. Czechowa. Reżyseria: Anniński. Zdjęcia: Szapiro. Muzyka: Żelobiński.

Film ten, według sztuki Czechowa, zachował niezmieniony humor satyryczny i świetny dialog wielkiego pisarza rosyjskiego.

Widz ogląda obrazek z życia ziemiaństwa z czasów carskiej Rosji i poznaje bohaterów filmu: obywatela ziemskiego Smirnowa, hulakę, zawadiakę zagrzebanego po uszy w długach oraz młodą wdówkę po sąsiedzie Smirnowa, Popowę. Wdowa nieutulona z żalu spędza czas opłakując zmarłego męża, wpatrzona w jego owinięty krepą portret. Wspaniale odmalowane tło obyczajowe środowiska uwypukla jeszcze bardziej konflikt pomiędzy tym dwojgiem chcących na pieniądze ludzi, którzy w końcu, niespodziewanie dla widza, łączą się w miłosnym uścisku.

W tym samym programie, co średniometrażówka „Niedźwiedź” wyświetlają komedie muzyczną radzieckiej produkcji „Dziadek do orzechów” oraz sfilmowany jeden akt świetnej sztuki Żeromskiego w adaptacji Kruczkowskiego — „Grzech”. Niestety,

III akt „Grzechu” na ekranie wychodzi w sposób nie tylko nie filmowy, ale dla widza nie znającego sztuki, całkiem niezrozumiały.

FUTRO PANA KRUGERA

Scenariusz według sztuki Gerhardta Hauptmanna — R. Stemmle. Reżyseria: E. Engel. Zdjęcia: B. Mondl. Muzyka: E. Roters. Wytwórnia DEFA.

Na pozór rozpoczyna się ten film skomponowany według znanej sztuki Gerhardta Hauptmanna „Biberpelz” (Futro bobrowe) jak nieledwie kryminalna komedia, której treścią jest awantura starej pani Krüger, żony rentiera z pokojówką Leontyną, kradzież drzewa sprzed willi Krügerów, wreszcie kradzież futra rentiera Krügera z balkonu jego domu. Ale w miarę rozwoju akcji filmu widz spostrzega, że chodzi tu całkiem o coś innego, do czego tamten interesujący, ale błahy motyw jest jedynie pretekstem. Chodzi o pokazanie rozkładu pruskiego społeczeństwa burżuazyjnego na schyłku ubiegłego wieku.

Zapoznajemy się bowiem z mieszkańcami willi Krügera: pocziwym rentierem liberałem walczącym o prawdę w jego pojęciu, jego lokatorem dr. Fleischerem, młodym postępowym poetą i kompozytorem pracującym nad muzyką do rewolucyjnej sztuki oraz gotowym do każdej podłości prowokatorem i szpiclem — Motesem. Widzimy dalej rodzinę Wolffów, kłusowników, złodziei i kombinatorów i wreszcie środowisko domowe naczelnika policji Von Verhahna, karierowicza nie gardzącego żadnym środkiem dla osiągnięcia swych niskich celów. I dopiero z ustawienia tych wszystkich figur i środowisk w sposób mistrzowski wynika prawda o moralności mieszczańskiej, a raczej o niemoralności tego środowiska, w którym jedyną nadzieją na przyszłość jest młody rewolucyjny artysta dr. Fleischer.

Film z niebywałą wyrazistością, w sposób wybitnie realistyczny przedstawia owe środowiska, uwzględniając każdy szczegół ich życia, od drobiazgów urzędzenia ich mieszkań do każdego słowa, gestu, czy też czynu.

JEDNODNIOWI MILIONERZY

Scenariusz: A. Joffe. Reżyseria: A. Hunebelle. Muzyka: J. Marion. Zdjęcia: Grignon. Produkcja: Pathé Cinema.

Od czasu słynnego filmu Rene Claira „Milion” motyw wygrania na loterii losu i zmian, jakie ten fakt wprowadził w życie, powtarza się często w kinematografii, zwłaszcza w filmach francuskich (nie-dawno jeszcze oglądaliśmy film „Antoni i Antonina” na podobny temat). Nic dziwnego: dla rodzin żyjących w społeczeństwach krajów kapitalistycznych najważniejszym motorem mogącym regulować szczęście rodzinne jest pieniądź, a że zdobycie go normalną drogą uczciwej pracy nie jest łatwe, potrzebny jest taki niespodziewany czynnik, jak wygrana na loterii.

Twórcy „Jednodniowych milionerów” odmienili nieco ten schemat, wprowadzając do swej wesołej komedii motyw omyłki. Scenarzysta po jednodniowym uszczęśliwieniu ludzi, którzy rzekomo wygrali

wielki los, każe im zejść z powrotem na ziemię do dawnego, uboższego życia. W dodatku omyłką nie kieruje ślepy los, ale świadomy figiel dziennikarza. Udratyzowane opowiadanie oszukanych świadków na procesie, który wytoczono dziennikarzowi za jego „kawał”, stanowi właśnie treść tego filmu, złożonego z ludzkich złudzeń, ludzkich rozczarowań i powrotu do uczciwej, spokojnej pracy bez niespodzianek.

„Jednodniowi milionerzy” to przykład beztrudnego, naprawdę szczerze zabawnego filmu, który jednocześnie posiada pełne prostoty znaczenie wychowawcze: pokazuje na przykładzie przypadkowo przez los loteryjny połączonych ludzi, niszczącą moralnie siłę pieniądza i wskazuje widzowi, gdzie leżą prawdziwe wartości człowieka.

Rolę nieszczęsnej żony, gnębionej przez męża, małomieszczańskiego despotę, gra świetna artystka francuska Gaby Morlay.

(BEYL)



Piękne dziewczęta pod słonecznym niebem Gruzji w pogodnym radzieckim filmie „Radosne spotkanie”.

Bohater komedii „Jednodniowi milionerzy” pan Jules promienieje radością na weselu swej ulubienicy.



Wstyd, panowie szlachta! Ciemno i brudno na Nowym Świecie...

KAROLINA BEYLIN

PIEKNA jest Warszawa stanisławowska na obrazach Canaletta, Vogla, czy Albertiego. Pałace, kościoły i kamieniczki mieszczańskie, zbudowane przez najlepszych architektów — Aignera, Zugha, Merliniego, Kubickiego, czy Szregera, jaśnieją bielą swych murów, otoczone ciemną zielenią rozłożystych drzew. Z pogodnego, co najwyżej usianego pierzastymi obłoczkami nieba, zdaje się nigdy nie spadać ani jedna bodaj kropla deszczu. Ulice, otaczające gmach, czyściutko wymiecione.

Wokół prześlicznych budowli nie widać walących się parkanów, ani śladu jakiegokolwiek zmurszałej rudery. Realizm artystów, odtwarzających niewątpliwe piękno architektury klasycyzmu stanisławowskiego, kończył się na samych gmachach, a artysta-malarz nawet starannie oczyszczał otoczenie ze wszystkiego, co

mogłoby zmącić wytworny obraz, opatrzony dwujęzycznym, polsko-francuskim, podpisem. Podobnie wymuskane, czyściutkie otoczenie mają pałace Warszawy Wieku Oświecenia na słynnym Planie miasta R. Tiregaille'a z roku 1762.

KŁOPOTY PRZECHODNIÓW

O odwrotnej stronie tego pięknego medalu mówią mieszkańcy ówczesnej Warszawy w licznych pamiętnikach, tak charakterystycznych dla wieku XVIII.

„Ulice są szerokie, ale źle brukowane. Kościoły i gmachy publiczne odznaczają się wspaniałością, pałaców magnackich jest mnóstwo i bardzo świetnych, ale największą część domów stanowią niskie, źle budowane chałupy”.

Tak pisze o stanisławowskiej Warszawie jeden z licznych wówczas gości cudzoziemskich, Anglik Wi-



OGÓLN

liam Coxe. Skarży się dalej, że nie miał możliwości dokładnego przyjrzenia się pałacom takich arystokratów, jak Radziwiłłowie, Jabłonowscy, Potoccy, Zamoyscy, Łubieńscy, czy takich bogaczy, jak bankier Tepper i Blank dla tej przyczyny, że „otoczone są murami tak, iż widzieć je i ocenić ich budowę jest niemożliwością”.

Podobnie wypada ocena bankiera Szulca, zięcia słynnego Teppera. Szulc w opisie Warszawy informuje:

„Miasto posiada 200 ulic, z których ledwie 10 jest porządných, 50 znośnych a reszta złych. Ulice, nawet brukowane, są w czasie słoty nie do przebycia.”

Komisja Brukowa po śmierci marszałka Biełlińskiego upadła, przerwano budowę kanałów i rynsztoków. Oświetlenie szwankuje”.

BERNARDO BELOTTO CANALETTO: TARG NA RYNKU NOWEGO MIASTA, FRAGMENT OBRAZU „KOŚCIÓŁ SAKRAMENTEK W WARSZAWIE”.





WIDOK WARSZAWY Z OKRESU STANISŁAWA AUGUSTA.



ZYGMUNT VOGEL: ŁAZIENKI.

Najszczerzej i najbardziej po prostu wypowiada się o nieporządkach na ulicach warszawskich anonimowy autor broszury, która w roku Konstytucji 3 Maja 1791 narobiła wiele hałasu. Broszura, nosząca tytuł „Myśli patrzącego przez okno na ulicę”, wylicza, w sposób miejscami humorystyczny, biedy przechodniów warszawskich, użalając się nad nimi, że „od kilkudziesięciu lat brukowe opłacają, a w bezdennym błocie tonąć muszą”. Opowiada np., że wyglądając przez okno na ulicę widzi „babę siedzącą w błocie z mąką i kartoflami, dziada w rysztołu śpiewającego i spódnice grodeturową panny Marcyanny, dziegiem usmarowaną”.

Ta spódniczka, którą panna Marcyanna otrzymała od swej pani po pięciu latach pracowitej służby, była także częścią aktu oskarżenia na nieporządku ulicy warszawskiej, gdyż — jak kończy tę historyjkę autor broszury — „panna Marcyanna zniszczyła ją, przeciskając się między wozami włościańskimi, które zacieśniały ulicę i tamują przechodniom przejście”.

MIASTO KONTRASTÓW

Nieporządki na ulicach warszawskich, śmiecie gromadzące się wraz z niesprzątanym nigdy błotem, lichy chatki i tandetne kamieniczki w sąsiedztwie pięknych pałaców — wszystko to mówiło o kontrastach ówczesnej Warszawy i było dowodem przepaści klasowych. Przepaść społeczna istniała bowiem wtedy nie tylko pomiędzy szlachtą a mieszczaństwem, ale i w łonie samego mieszczaństwa, gdzie z jednej strony puszyli się bogaci kupcy, jeszcze bogatsi od nich bankierzy Stanisława Augusta oraz dorabiający się rzemieślnicy, a z drugiej strony ubogie drobnomieszczaństwo Warszawy. W wyrastających wówczas fabryczkach, manufakturach i warsztatach rodzi się zaczątek proletariatu miejskiego w osobach czeladników, krzywdzonych przez bogate rzemiosło i robotników, będących na usługach właścicieli fabryk, przeważnie arystokratów.

Echa nieustających tarć i swarów pomiędzy poszczególnymi warstwami społeczeństwa warszawskiego odnieść można nawet w dziedzinie, zdawało by się tak błahej, jak... śmiecie na ulicach miasta.

Żeby tę sprawę wyjaśnić, należy powrócić na chwilę do schyłku epoki saskiej, kiedy to marszałek wielki koronny, Franciszek Bieliński, troskliwy gospodarz miasta zabrał się energicznie do porządkowania rozpaczliwego stanu ulic warszawskich. W latach 1743 — 1762 potrafił on, mimo gwałtownego sprzeciwu rządzących się własnymi prawami 20 wówczas jurydyk w obrębie Warszawy, obłożyć właścicieli posesji warszawskich podatkiem Komisji Brukowej, wynoszącym zależnie od położenia domu „od 3 groszy do tynfa za łokieć frontu”.

Podatek ten nazwany „łokciowym” przyniósł znaczny dochód i zgodnie z ogłoszonymi wówczas „Sumaryuszami, perceptami i ekspensami łokciowego” przyznał się do tego, że Warszawie przybyło 38.311 sążni bruku, przeważnie na Nowym Świecie, Krakowskim Przedmieściu, Nowym Mieście i Senatorskiej. Nie rozwiązało to jednak sprawy, a inwestycje zapoczątkowane przez Bielińskiego, po jego śmierci znowu ustały.

Drugi z kolei następca Bielińskiego, Michał Mniszech powrócił do nich. Zarządził on w 1784 r. utworzenie po bokach ulic „ścieżek wyższych brukowanych” tj. pierwszych w Warszawie chodników i nakazał właścicielom domów, aby „za obwieszczeniem przez grzechotkę” zgarniać kazali sprzed swych domów śmiecie, śnieg błoto „przynajmniej trzy razy w tygodniu”.

Ale mimo to, „nieregularne chędożenie ulic”, jak to pisała ówczesna prasa, nie zmieniło się, a założony przez Bielińskiego tabor miejski (zwany wówczas „magazynem karowym”) nie wywiązał się ze swego zadania wywożenia nieczystości nad Wisłę, gdzie u wylotu staromiejskiej uliczki Gnojnej (obecna Celna) rosła od wieku XVII olbrzymia, zionąca wonią zgnilizny góra,



Canaletto: Krakowskie Przedmieście od strony ówczesnej Bramy Krakowskiej. Na lewo klasztor Bernardyński, późniejsze konserwatorium, w którym kształcił się Fryderyk Chopin. Dalej widać kościół Bernardynów

dynek, późniejsze konserwatorium, w którym kształcił się Fryderyk Chopin. Dalej widać kościół Bernardynów



BERNARDO BELOTTO CANALETTO: KONSERWATORIUM MUZYCZNE W WARSZAWIE.

Dalszy ciąg na str. 17

Pożegnanie z

FERNANDEM GARIMAU

OPOWIADANIE

(4)

W tej chwili wyraźnie słyszę szum okrzyków, jaki wznosił się od Placu Nation do Bastille w dniu pierwszego maja:

— Chleba i Pokoju!

— Idota! — krzyknął Pierre. — Strajk generalny tylko o podwyżkę płac! Generalny idiota.

Wiedziałem, że mówi o zagranicznym dziennikarzu.

Koła trą o bruk, wydają przeraźliwy gwizd. Jacques hamuje. W smudze światła stoi policjant z wyciągniętą ręką. Dwaj inni podchodzą do nas, Jacques zwraca się ku nim mówiąc:

— Zakłady samochodowe Periquet.

W tej chwili przypomniałem sobie pewien ciekawy artykuł z „Action”. Ale nie zdążyłem podzielić się z Pierre'em swoimi uwagami, gdyż wszyscy, włącznie z Jacques'em, musieliśmy się wylegitymować. Legitymacje prasowe zrobili swoje. Już nie wołali: „Czego tu chcecie? Zawracaj!” Mruzcili do siebie, nie wiedząc, co z nami począć. Po chwili jeden z nich poszedł po oficera. Gdy wrócił, siedzieliśmy wewnątrz wozu, głośno wymyślając policjantom. Było coś dziwnego w tej całej scenie i sytuacji. Na wąskiej ulicy z nieforemnymi, nierówno zabudowanymi, pokracznymi domkami, w cieniu potężnego kołosa przemysłowego, o tej porze drzemającego, z mroku nocy wybiegają naprzeciw naszego samochodu uzbrojeni policjanci. Szofer, zatrzymując auto, nie przyćmił ostrego blasku reflektorów. I policjanci w hełmach, z rozwianymi pelerynami, potrząsając pistoletami lub gumowymi pałkami, na oświetlonych, wyrwanych nocnym ciemnościom pasmach bruku, biegają ku nam, zatrzymują się, stają. Oficer, który przybył ostatni i stojący przy nas policjanci, w odbłyśku płomienia zapalniczki, którą zapalamy nasze papierosy, ukazują twarze pełne napięcia i grymasu powagi, żeby nie powiedzieć — lęku.

— Czego panowie chcecie? — pyta oficer przeglądając nasze legitymacje.

— Chcemy się dowiedzieć, co zaszło...

— Gdzie?

— Tutaj.

— Nic nie zaszło.

— A jednak... — mówi słodkim głosem Pierre. — Skoro panowie tu jesteście...

— Jesteśmy tutaj, by nikt nie zakłócił porządku i spokoju.

— Właśnie. Otóż to. Chcieliśmy się dowiedzieć, jakie są szanse utrzymania porządku i spokoju...

Oficer oddał legitymacje. Dreptał w miejscu, przebiegał nogami jak zmarnięty włóczęga.

— Proszę. Sami panowie widzą: nic się nie dzieje. Spełniając rozkaz wyższych władz, stacjonujemy tutaj... Jest zimno i ponuro. Nie ma nawet nadziei, że w dzień będzie można rozgrzać się winem w „kafejce”, bo i one podobno będą zamknięte z powodu tego przekłętą strajku...

— Mimo przykłej sytuacji, w jakiej się pan znalazł — Pierre przerwał wywody porucznika — ochota do żartów nie opuściła pana. Jesteśmy dziennikarzami. Jest pan obowiązany udzielić nam informacji.

— Wiem, wiem — odsłonił swe prawdziwe oblicze oficer. — Dziś rządne dzienniki nie wyjdą. Wiem, jakimi jesteście dziennikarzami... Nic tu po was. Nic się nie dowiecie. Odjazd. Zawracaj! — krzyknął na kierowcę.

Jacques wtulił głowę między ramiona, lecz nie zapuścił motoru. Wyglądało, jakby jego beret wyrastał wprost z tułowia. Słyszac podniesiony głos swego dowódcy, policjanci przybliżyli się do nas.

Pierre zaczął głośno wymyślać oficerowi, policjantom i wszystkim pacholkom kapitalistów. Głos jego odbijał się od murów kamienic i głucho huczał na pustych ulicach. Trochę mi tygowałem Pierre'a, równocześnie powstrzymując coraz potężniej ogarniającą mnie chęć, by przyłączyć się do niego.

Nie wiem, jak zakończyłaby się ta cała awantura, gdyby zza zakretu nie wyłonił się mały, szary samochódzik, który zatrzymał się koło naszego. Z auta, zza kierownicy, wysiadł mężczyzna, w luźnym sportowym płaszczu. W rękę jego powiewała legitymacja.

— Jestem John Stewess — mówił z cudzoziemskim akcentem — John Stewess z koncernu prasowego Shopper and Shoper...

Dzięki Johnowi Stewess'owi — gdyż nie wypadło cudzoziemca przepuścić, francuskich zaś dziennikarzy zatrzymywać — pozwolono nam przejechać dookoła fabryki, by otrzymać od rezydującego u wylotu rue Armagnac komisarza wiadomości, których jedynie on miał prawo udzielić.

5.

Okna wychodzą na równy rząd czteropiętrowych kamienic. W dzień, poprzez nieosłonięte firankami szyby, można dojrzeć ubogie meble i szczupłą twarzyczki dzieci, których ojcowie, źle zarabiający robotnicy i urzędnicy, z trudem tylko dźwigają ciężar

życia rodzinnego. Licho ubrane, wyniszczone i zaniedbane kobiety lubią w otwartych oknach prowadzić głośne, pełne utyskiwań rozmowy. Niemal przez całe dni chodzą w zniszczonych, wytartych szla'rokach. Rano trzepią pościel na balkonach, potem gotują jakieś mizerne potrawy. Wieczorem wcześniej gasną światła w tych mieszkaniach.

Teraz jednak w domu, w którym mają swą siedzibę centralne władze CGT, widać było tylko czarną ścianę nocy. Na dole wciąż trzaskały drzwi. Całe schody rozbrzmiewały nieustannym łoskotem kroków i wielogłosem rozmów. Na ulicy, w ciemnościach, czuwaliby towarzysze. W sali obrad także czuwaliby towarzysze.

Gdy Feliks i Duvin zjawili się w zatłoczonym ludźmi pokoju na drugim piętrze owego wielkiego i raczej ponurego gmachu, przywitano ich niespokojnymi spojrzeniami i gorącymi słowami.

— Są. Nareszcie. Siadajcie — wołano, podsuwając im krzesła.

Towarzysz z Komitetu Centralnego przybliżył się do Feliksa i Duvin. Cześć mężczyzn wyszła. Feliks, nie czekając na zaproszenie, poinformował:

— Obsadziliśmy Periquet'a. Dookoła ulice pełne są policji.

— Wiem. Gdy doszła nas wiadomość, że robotnicy zajęli zakłady, kleliśmy ciebie, Feliks — mówił Boyer z kierownictwa CGT. — Lecz po głębszym zastanowieniu się doszliśmy do wniosku, że należało tak właśnie uczynić. Wy tłumacz teraz, dlaczego posłałeś ludzi do fabryki...

Duvin szeptem rozmawiał z Lagage'm z Komitetu Centralnego partii.

— Towarzysz Duvin był wewnątrz — powiedział Lagage.

— Opowiecie nam za chwilę wszystko — rzekł Boyer. — Jedź, Feliks — zwrócił się poufale do swego towarzysza.

— Tylko nie tak jak w 43-cim roku — rzucił żartobliwie Lagage, przypominając sobie wspólną akcję przeciw hitlerowcom i szaleńczą jazdę samochodem prowadzoną przez Feliksa, która omaal nie skończyła się tragicznie. Feliks spojrział na Lagage'a.

— Ciemno. Nie poznałem was, towarzyszu.

Ucisnął rękę Lagage'a. Nie widzieli się od tamtej chwili, lecz pamiętali o sobie. Poznali się dobrze wtedy, podczas akcji.

— Otrzymałem informację o dziwnej, nocej wizytacji fabryki — mówił Feliks, operując skrótami. — Pomyślałem sobie: z telefonu nie chcę korzystać. Nie mogę. Sam nie pojadę. Muszę być na miejscu. Auta nie miałem pod ręką. Pośle kogoś: pół godziny na drogę, godzinę na powrocie przez was decyzi. Pół godziny na drogę. Razem dwie godzin... A dwie godzin w naszych warunkach to co najmniej doba...

— Mogliście zorganizować obstawę fabryki, a jednocześnie przekazać wiadomość bez powzięcia decyzji — przerwał Lagage. — Nie mówicie wszystkiego.

— Tak. Istotnie nie mówię wszystkiego. Byłem pewny, że obsadzenie fabryki jest konieczne...

— Mówcie...

— Policja otacza pustą fabrykę... To znaczy nie chce nikogo przepuścić na jej teren.

— Albo próbuje zaniepokoić robotników i w konsekwencji spowodować załamanie, albo istotnie pragnie izolować zakład...

— Jeśli zachodzi pierwszy wypadek: robimy wszystko, żeby tego uniknąć. Ludzie przedostali się niepostrzeżenie i pozostali w ukryciu. Druga możliwość: próbujemy odparować niewiadomy cios.

— Skończyliście?

— Tak.

— Towarzyszu Duvin — Lagage zwrócił się do drugiego przybysza. —

Jak sądzicie: co mogło robić w fabryce to całe towarzystwo?...

— Wiecie dokładnie wszystko? — spytał Feliks.

— Przecież przesłaliśmy nam wystarczające informacje.

Duvin, nim zaczął mówić, głęboko odetchnął.

— Kiedy stary Carmasse opowiedział, co zobaczył, zapytałem go, czy mu się to przypadkiem nie przyśniło. Ale jemu się nie przyśniło. Szpicel fabryczny, oficer policji i jeszcze jacyś — dobrane towarzystwo. Pamiętam w 36 roku, no i teraz ostatnio, w 47, jak policjanci składali wizytę w zakładach Periquet'a, zawsze następowała większa awantura. To jasne. A ci tam, co robili? Przyszli na przesłanie. Jasne. Coś kombinują.

— Szli przez maszynownię?

— Maszynownia to serce zakładów. Tam powstają najcenniejsze części i tam znajdują się najcenniejsze maszyny. Carmasse opowiadał, że widział, jak oglądali precyzyjne, automatyczne frezarki. Macali je ponoć jak cielaka kupowanego na wiejskim jarmarku. Niedoobrze, że Carmasse nie słyszał, o czym mówili. Ale to nie dziwnego. Stary jest mocno przygluchy.

Duvin skończył.

— A co wy powiecie, towarzyszu? — spytał Lagage Boyer'a.

Boyer rozłożył ręce.

— Na Porte de Clichy idzie duża gra — zaczął mówić powoli, z namysłem. — To znaczy tam przygotowuje się jakaś akcja. U Periquet'a kapitaliści będą próbowali, ba, już próbują przejąć inicjatywę w swoje ręce. Spróbują uderzyć. Ściągnęli policję i czekają. Na koniec nocy, czy, diabli wiedzą, na co... Wybrali sobie Periquet'a. Wiemy dlaczego. Wiemy komu zawadza ta fabryka. Ale to znaczy, że mogą się posunąć jak najdalej. Tej własności policja nie będzie bronić. Ona broni tylko zasady własności... Mamy meldunki z całego miasta. Idą w ruch normalne zabiegi, stare chwytły. Wzmocnione patrole policji chodzą ulicami. Zgromadzono rezerwy żandarmerii. Agenci wzmagają nacisk na robotników i urzędników. Niektórzy socjaliści i chadecy usiłują przekonać swoich ludzi, żeby szli do pracy. Ale my jesteśmy wszędzie. Strajk jest popularny. Rozporządzamy znacznymi siłami.

— Tak. Dobrze — mruknął Lagage. — Z tego, co mówiliście, towarzysze, wnioskowałem jedno: potrafimy przeprowadzić dosyć ścisłą analizę sytuacji. Niemniej jednak na wyprowadzonych z niej danych nie umiemy oprzeć przewidywań, co do najbliższej nawet przyszłości. Czyżby więc znane nam elementy w chwili obecnej były zbyt szczupłe? Czy też może umysłem naszym brak jasności, brak doświadczenia, które najlepiej pomaga przewidzieć bieg faktów, mających dopiero nastąpić?

Otóż, moim zdaniem, ani jedno, ani drugie. Po prostu zdarzenie, które chcemy rozszyfrować, trudno przeniknąć. Co oni kryją i co przygotowują? Jedno jest pewne. Poza nimi stoi nasz śmiertelny wróg: kapitalizm. I w tej walce musimy być czujni, inteligentni, doświadczeni, mądrzy. Nie wolno nam popełnić żadnego błędu. Nie wolno nam pozwolić sobie na najmniejszy nawet odruch słabości. I dlatego dobrze, że towarzysz Feliks zarządził obstawienie Periquet'a, chociaż... — Lagage zawahał się — chociaż... ta forma ostrożności może się okazać dla nas kosztowna... Jednak nie było wyjścia... Dobrze więc. Ale teraz zorganizujemy stałą łączność między Porte de Clichy i mózgiem strajku — nami. U was toczy się najważniejszy fragment bitwy i my musimy wciąż znajdować się na waszym terenie, równocześnie będąc tutaj. I dlatego stała łączność jest sprawą wielkiej wagi.

ciąg dalszy nastąpi





Amatorska radiostacja jest prosta w obsłudze.

SP-1-CM

ROZMAWIA Z CAŁYM ŚWIATEM

GENERATOR cichutko mruczy, z lampki kontrolnej kładzie się na podłogę delikatny blask. — Tu SP-1-CM. Słyszycie mnie?

Nadsłuchiwanie wyraźnie i czysto odpowiada radiostacja amatorska z Australii, podając swój sygnał wywoławczy i długość fali. Długość niewielką, często w ułamkach metrów, gdyż amatorzy pracują na falach krótkich i ultrakrótkich.

Każdy, kto ma w domu zwyczajny odbiornik radiowy, lubi „jeździć” po skali i „wylapywać” najrozmaitsze stacje nadawcze. Przyjemność krótkofalowca jest podwójna, nie tylko bowiem słyszy, lecz także rozmawia z całym światem. Przy sprzyjających warunkach i odpowiednim ustawieniu anteny nadawczej zasięg takiej krótkofalówki jest praktycznie nieograniczony.

AUSTRALIA, WŁADYWOSTOK, DAKAR

Polscy amatorzy z klubu radiowego Ligi Przyjaciół Żołnierza nawiązują swobodną łączność z marynarzem statku wielorybniczego w Władywostoku, z Włochem, który podaje wiadomości o powodzi w dolinie Padu, z mieszkańcem Dakaru w Afryce Pn., który donosi o 42-stopniowym upale. Wszyscy ci rozmówcy, oddaleni o tysiące kilometrów, przysła wkrótce pocztówki QSL, jako dowód odbioru sygnałów polskiej stacji SP-1-CM. Zbiór takich kart, zdobitych barwną plamą pokój radioamatora, jest dla niego tak samo cenny, jak dla myśliwego skóry niedźwiedzia i jelenie rogi.

Krótkofalarstwo nie jest jednak tylko przyjemną i ciekawą rozrywką. Wszyscy amatorzy mają kwalifikacje zawodowych radiotelegrafistów i radiotechników, zdobyte na kursach prowadzonych przez LPŻ. Po kilkustopniowym szkoleniu potrafią zbudować samodzielnie najbardziej skomplikowany aparat i obsługiwać radiostację nadawczą.

GŁOS POKOJU W ETERZE

Jeden z polskich amatorów opowiadał nam, że wysłał do swego rozmówcy w Wielkiej Brytanii kartkę-pokwitowanie odbioru z wydrukowanym — jak na wszystkich polskich kartach tego typu — białym gołębem pokoju. Brytyjczyk odesłał pocztówkę z adnotacją: „Takiej karty nie mogę przyjąć!”

Można się domyśleć, że Anglik bał się możliwości posądzenia o utrzymywanie kontaktu ze... zwolennikami pokoju.

Rozmawiając „na odległość” trzeba zawsze pamiętać, z kim się mówi. Anglosasi wykorzystują działalność swoich nielicznych radioamatorów, kontrolowanych zresztą przez władze wojskowe, w celach dywersyjno-szpiegowskich. Pocztówki QSL amerykańskich radioamatorów opatrzone są wizerunkiem... wybuchu bomby atomowej. I tutaj wkroczyła propaganda podżegaczy wojennych.

Polские kluby krótkofalowców przy Lidze Przyjaciół Żołnierza grupują kilkuset członków i liczba ta stale rośnie. W rozmowach z całym światem przez aparat nadawczo-odbiorczy kształcą się przyszli fachowcy radiowi.

Radiostacja SP-9-KKA na wystawie w Krakowie cieszyła się wielkim zainteresowaniem zwiedzających.



Rekwizyty zbrodni.

REKRUCI „STU MILIONÓW”

UZBIEGU demokratycznego sektora Berlina z sektorami zachodnimi mieszczą się tablice orientacyjne opatrzone napisami: „You are entering the American Sector”, „You are entering the British Sector”, „Vous entrez dans le secteur français”. Za tymi jakże z pozoru niewinnymi znakami granicznymi znajduje się jeden z najaktywniejszych w Europie ośrodków dywersyjno-szpiegowskiej sieci imperializmu amerykańskiego.

Tu kierują swe kroki szumowiny i męty różnych narodowości, zbrodniarze i wyrzutki rozmaitego autoramentu, zdrajcy swych krajów ojczystych, gotowi pójść na żołąd amerykańskiej armii szpiegów. Tu skierowali swe kroki Głuchowski i Korwel, Falkus i Kuzubski, (droga Długosza wiodła przez ośrodek agenturalny w Salzburgu), bandyci i sprzedawcy, skazani na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie.

Ludzkie odruchy i skrupuły moralne zatracili już w swej brudnej przeszłości. Jeden z nich to były NSZ-owiec, drugi — andersowiec, PSL-owiec, faszysta, trzeci — pospolity złodziej, czwarty — pijak i awanturnik, piąty — specjalista od szabru i przemytu. Gościnnie rozwarły się przed nimi wrota IRO — „Międzynarodowej Organizacji Uchodźców”, „Biura Pomocy Uchodźcom z Polski” czy też białogwardyjskiego „Komitetu” — i hojnie posypały się w ich kieszenie srebrniki w różnych walutach.

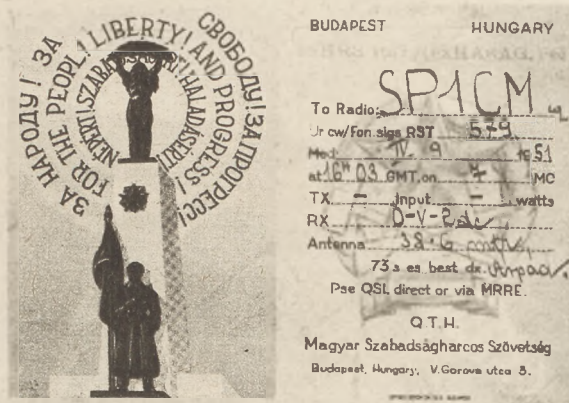
Za koszule, skarpety, puszki smalcu i wreszcie za gotówkę żądano oczywiście usług konkretnych: wiadomości o polskich obiektach wojskowych i przemysłowych, regularnych podróży do kraju, organizowania tu „punktów informacyjnych” i band terrorystycznych, przewożenia instrukcji wywiadowczych, werbowania nowych agentów, przeprowadzania do Niemiec cennych dla wywiadu amerykańskiego ludzi itd. Tak to z błyszczących neonami arterii zachodniego Berlina nasłani do Polski szpiegów i dywersanci powędrowali do celi więziennej, a stąd na ławę oskarżonych w Warszawie.

Na stole sędziowskim można było oglądać rekwizyty zbrodni: matryce z instrukcjami, pliki banknotów, fałszywe dokumenty, mikrofilmy i miniaturowe, ledwo co większe od pudełka zapalek aparaty fotograficzne. Ustawa o „stu milionach” sankcjonująca „prawnie” od dawna zresztą realizowaną przez USA praktykę finansowania dywersji i sabotażu w obozie pokoju — usiłuje zapewnić najmożliwym zbrodniarzom maksimum wygody, precyzji i komfortu. Miliony podatników w Stanach Zjednoczonych płacą za tę „mechanizację” szpiegostwa.

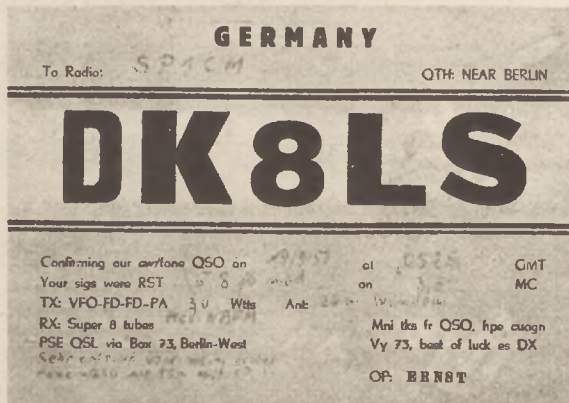
Nie pomogły jednak „najnowocześniejsze” metody — szpiegdy zostali ujęci przez polskie organa bezpieczeństwa. Nie będą już więcej mogli handlować polską krwią, przeliczając jej wartość na dolary, skarpety czy puszki smalcu, pochodzące z rozmaitych „Biur Pomocy”.

Dobroczyńność i czułość dla zdrajców, szpiegów, dywersantów i szkodników nie jest już dziś w stanie ukryć swego oblicza ani zataić swej genealogii. Toteż tablica z napisem „You are entering the American Sector”, którą Amerykanie zawiesić by chcieli nad całym globem ziemskim, coraz mniej jest granicą dwóch światów. Granicę tę wyznaczają w poprzek kontynentów setki milionów sumień ludzkich, odróżniających coraz dokładniej uczciwą i szlachetną politykę obrony pokoju od polityki „gleichschaltującej” człowieka z puszką smalcu.

(C. K.)



Karta węgierskiego radioamatora HRS — 1071.

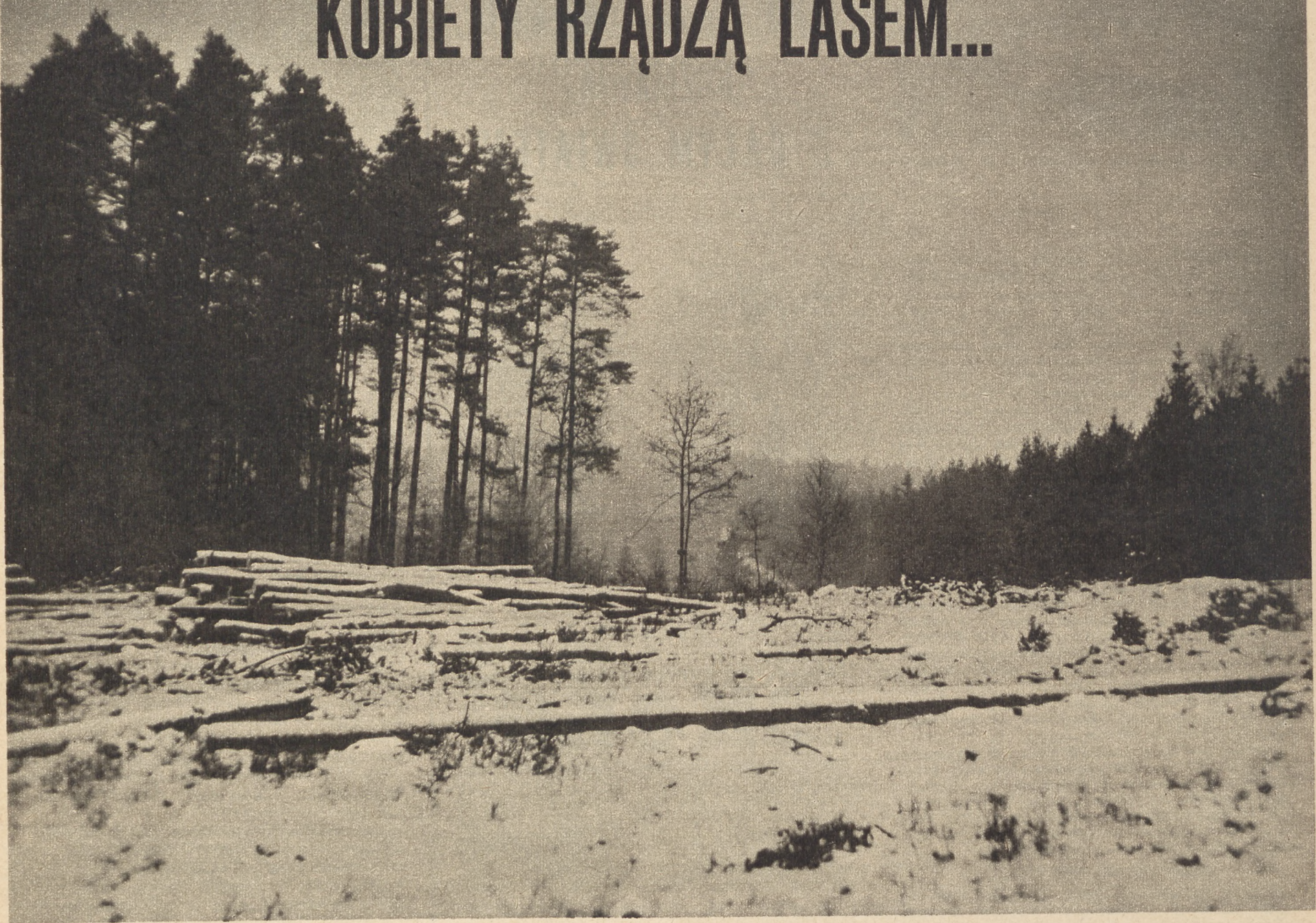


Pozdrowienia od niemieckiego krótkofalowca.



I w Bułgarii krótkofalowcy słyszą naszą SP-1-CM.

KOBIETY RZĄDZĄ LASEM...



J. K. MACIEJEWSKI — Zdjęcia: Z. MALEK

STARY las przecięty mało uczęszczaną drogą. Na wyrównanym deszczem piasku tropy: ręczo przemknęły tędy sarny. Mech pod dębami zryty, przewrócony całymi płatami: tu gospodarowały dziki. W przydrożnym rowie zwalony stos słupów telegraficznych, świecących obdartym z kory drewnem. W głębi lasu stuk siekiery i młode głosy...

Wyobraźnia podsuwa nam obraz krzepkiego drwala jak ciężką siekierą z zamachem podcina jodłę, potem jak we dwóch przyklękają i rytmiczną pracą dobrze wyrychtowanej piły obalają pień drzewa na ziemię.

Tymczasem nie ma tęgich drwali, nie ma robotników leśnych. Schylone nad leżącym słupek dwie dziewczyny ośnikami sprawnie zdzierają płaty kory — szarej z wierzchu, brązowo-czerwonej od spodu. Inna dziewczyna siekierką obcina boczne gałęzie.

Odprowadzają nas wzrokiem, gdy pozdrowiwszy je idziemy pobliską polaną, zrytą pługiem w głębokie podłużne pasy. W koszu, ustawionym w jednej z bruzd widnieją sadzonki dębu, lipy i brzozy, które sadi w ziemi Jadwiga Klim z Ligoty, pyzata blondynka w spodniach i króciutkiej na nich spódnicy. Obok niej widzimy Annę Fałek, która pracuje w lesie już od trzydziestu lat. Podnosi ku nam pomarszczoną twarz i powiada gwarą Śląska Opolskiego: — Hej, co ja sadiła poręby, to są ale srogie. — Spogląda przy tym na swoją „władzę”. Funkcję leśniczego pełni tu Jadwiga Kościelna, młoda dziewczyna w mundurowej bluzie z trzema gwiazdkami, w gumowych butach i chusteczce na głowie. Jest ona Ślązacczka urodzoną w pobliskich Biskupicach. Sześć lat pracowała w tutejszych lasach jako zwykła robotnica, a potem skończyła kurs i została leśniczym.

Czy daje sobie radę? Jeszczeby nie! Doskonale opanowała nową pracę i bardzo się do niej przywiązała. Trudności jeszcze są, ale tylko z pracą czysto biurową.

Nadleśniczy mówi o niej, że nawet nocami chodzi po lesie. A kiedy pytamy, czy nie boi się leśnych złodziei odpowiada:

— Broni nie mam, ale bać się nie bojam... A złodzieje o pół mili poznam.

Koleżanka Kościelnej, Maria Wróbel gospodarzy w leśnictwie Drogi Biskupskie. Jest ono położone w pobliżu nadleśnictwa. Jeżeli zajrzemy do jego biur, to zobaczymy, że pracują tam, poczynając od nadleśniczego poprzez sekretarza Pelagię Kotarską, same kobiety. Słowem — nadleśnictwo w spódnicach! Pierwsze w Opolskim Okręgu Lasów Państwowych, pierwsze w Polsce, a kto wie, czy nie pierwsze na świecie nadleśnictwo całkowicie kierowane przez kobiety.

Marysię Wróbel, szczupłą, przystojną, wesołą dziewczynę zastajemy w jej kancelarii. Marysia ma dopiero dwadzieścia jeden lat. W spódnicy i sweterku, uwydatniającym jej zgrabne kształty, nie wygląda na srogiego „leśnego wilka”. Na szkicu leśnictwa znaczy miejsca na których były przeprowadzone próbne poszukiwania wielkiego szkodnika lasów iglastych — osnuj gwiazdzistej. Leśnik odnosi się do nich tak samo jak rolnik do stonki ziemniaczanej. Walczy bezlitośnie z tym śmiertelnym wrogiem naszych lasów.

Marysia z ożywieniem opowiada o swojej pracy, o żmudnym i nie lubianym zresztą wykończaniu dowodów kasowych na wypłaty, kwitów wywozowych dla furmanów i innych zajęciach biurowych. Lubi natomiast właściwą pracę w lesie i zna ją. Pracowała w PGR-ze jako robotnica sezonowa. Później przeszła do roboty w lesie. Po kursie otrzymała nominację. I oto Marysia nosi trzy gwiazdki, a życie miecha się do niej nawet poprzez dowody kasowe i wywozowe kwity.

Już zdołała kupić sobie za własne pieniądze mebelki do kuchni. Nowiuteńkie, błyszczące świeżym lakierem. Marysia żyje pod znakiem planowania. Nawal pracy nie przeszkadza jej w prowadzeniu gospodarstwa domowego. Gotuje oczywiście sama. Na dziś na przykład zaplanowała naleśniki i kompot...

Ale prócz tych planów bytowych są o wiele ważniejsze: plany produkcyjne. Jeżeli Kościelna chwaliła się, że od siódmego grudnia przechodzi na ścinke drzew na poczet roku 1952, bo swój plan już wykonała, to Marysia Wróbel nie omieszkała zaznaczyć: — Mogę się pochwalić: pozyskanie drewna i wywózka na rok 1951 skończona. Plan wykonany. Od siódmego grudnia wożę już ponad plan!





Marysia Wróbel często zagląda na porębę skąd furmani wywożą drzewo. Należy przecież sprawdzić,

czy praca posuwa się szybko naprzód. Robotnicy chętnie wykonują polecenia „władzy” w spódnicy.



Anna Falek (z lewej) pracuje przy sadzeniu drzew już 30 lat. Troszczy się o drzewa, które wychowała.



Nawał pracy w lesie nie przeszkadza Marysi w zajęciach domowych. Dziś na obiad są... naleśniki.

W leśnictwie Kościeliska kobiety zalesiają porębę. Leśniczka Jadwiga Kościelna (w środku) skrupulat-

nie ogląda sadzonki. Musi z nich wyrosnąć potężny las, aby jak najwięcej drewna dać budownictwu.



Wstyd, panowie szlachta! Ciemno i brudno na Nowym Świecie...

[Dokończenie ze str. 13]

zwana Górą Gnojową lub po łacinie „Mons Fimi” (uwieczniona na rycinie w dziele Puffendorfa o Warszawie z czasów najazdu szwedzkiego).

JAŚNIE OŚWIECENI I JAŚNIE WIELMOŻNI NIE CHCĄ SŁUCHAĆ!

I tu właśnie okazało się, że marszałek Mniszech, chcąc uporządkować ulicę warszawską musi stoczyć walkę z panami szlachtą. Ci bowiem właściciele dworów w rozmaitych dzielnicach Warszawy, a przeważnie na Nowym Świecie, nie chcieli uznać rozkazów i akcentując swoją niezależność, postanowili sprzed swoich domów śmieci i błota nie wywozić. Mieszczanie zaś poczuli się obrażeni, że na nich spadnie cały ciężar i wobec tego również odmówili sprzątania.

Prasa wówczas pisała: „Jaśnie Oświeceni i Jaśnie Wielmożni temu urzędzeniu ulegać nie chcieli, skąd dzieło to skutku swego nie wzięło”. Przechodząc Nowego Świata, wyruszysz więc od strony Krakowskiego Przedmieścia, gdy wyminą wielki drewniany kościół XX Dominikanów Obserwantów, stojący u wylotu ulicy (stał w tym miejscu, gdzie od roku 1825 wznosi się Pałac Staszica) znalazł się na Nowym Świecie wśród przeważnie drewnianych, ozdobionych ganiami, dworów otoczonych „fruktowymi sadami” czuł nagle zalatujący z tej ulicy przykry odór. Powietrze było tam tak okropne, że — jak prasa warszawska podała w listopadzie 1789 roku — delegaci miast królewskich Korony i Litwy, którzy przybyli do stolicy na naradę, rozjechali się przed wyznaczonym terminem do domów, „tak dla wyekspensowania się, jak i słabości z smrodliwej aury”.

Któregoś dnia nawet król Jegomość, jadąc kareta z Zamku do Łazienek, zaniepokoił się na Nowym Świecie z powodu fetoru, zalatującego od domów. Spytał, skąd też to pochodzi.

— To panowie szlachta, miłośnicy królu — odpowiedziano i dodano objaśnienie, że śmiecie i nieczystości nie bywają nigdy sprzed dworów szlacheckich uprzątane, a to z przyczyny szlacheckiej samowoli.

I LAMP TEŻ NIE CHCĄ ZAPALAĆ!

Do udręk przechodnia warszawskiego należały też grobowe ciemności, które spowijały ulicę z nastaniem wieczora. Bo chociaż w Bramie Krakowskiej na Placu Zamkowym, i w Bramie Nowomiejskiej i na Ratuszu Starej Warszawy zawisły pierwsze lampy olejne już w roku 1754, to na tym oświetlenie stolicy się skończyło. Ogłoszono co prawda w roku 1777, tuż przed Bożym Narodzeniem, uchwałę „szlacheckiego Magistratu”, że co 30 kroków ma być przybita na kamienicy latarnia, opalana kosztem właścicieli domów na tym odcinku ulicy. Ale tu znowu stanęła okoniem szlachta i oświadczyła, że nikt jej nie zmusi do opłacania oleju do latarni. I znowu „obywatele kondycji miejskiej”, nie chcąc sami ponosić kosztów, poszli za przykładem braci szlachty. Na ulicach było ciemno, Marszałek Mniszech spróbował więc podzielać na szlachtę perswazją. W lutym 1785 roku wydał odezwę do właścicieli posesji, gdzie między innymi pisał:

„Spodziewać się należy, że JOO. JWW. WW. dziedzice i posesorowie pałaców, domów, kamienic, ile z opalania latarni wygody i bezpieczeństwa doświadczający, uboższych do punktualnego opalania w nocy światła swym przykładem zachęcając zechcą się skłonić do tak pożytecznego urządzenia i zalecić punktualne światła w latarniach przed swymi posesjami opalanie”.

„Jaśnie Oświeceni” i „Jaśnie Wielmożni”, a nawet tylko „Wielmożni” nie wzruszyli się jednak tymi rozsądnymi argumentami i chociaż mieli pełne gęby hasła „pro publico bono”, nie chcieli dla czyjegós tam dobra poświęcać ani tylną ze swej szkatuły: sami przecież jeździli karocami, które miały na bokach kołyszące się latarnie, a nierzadko poprzedzane były przez hajduków z zapalonymi pochodniami. Co bogatsi mieszczenie mogli wynająć na Rynku Starego Miasta, na Krakowskim przed Bernardynami, lub przed Wyzytkami, drażników przybranych w liberię i noszących lektyki, lub zgoła jednego z czekających na rogach ulic ludzi, gotowych do dźwigania przechodnia systemem „na barana” i przenoszenia go przez „wzburzone flukta”, płynące środkiem ulicy. A że „pospólstwo” musiało w grobowych ciemnościach brnąć w śmieciach i odchodach po kolana, to mała bieda.

Kiedy więc na zegarach, skonstruowanych przez Imć Pana Gugenmusa, zegarmistrza nadwornego, wybiła w całej Warszawie godzina dziesiąta wieczorem, stolica zamierała.

Na ulicach panował głęboki, nie rozświetlony niczym mrok nocy, za szybami okien gasły też szybko pełgające płomyki świec woskowych, z pałaców wielkich panów nie przedostawały się na ulice przez ściśle zapuszczone jedwabne zasłony blaski jarzących się świeczników.

Nad samą Wisłą, na piaszczystym, nieuregulowanym brzegu, na wprost Starego Miasta, w widmowym świetle księżyca wznosiła się groźna, straszliwa, zionąca fetorami Mons Fimi — Góra Gnojowa.

KAROLINA BEYLIN

UCZTA BALTAZARA

P O W I E Ś Ć

Ilustracje: IRENA KUCZBORSKA

Określił je ściślej.

— Ze starej inteligencji — rzekł — oblatanej z burżuazją!

Westchnął:

— Ale cóż? — w skupieniu po dłuższej chwili tak jej sprawę osądził. — Bez podejrzliwości nie wypłenimy z jej duszy starego świata. Ale znowu nowego świata w niej nie zasiejemy nie stosując ufności. Godzicie się?

Teraz zaczynał się las, ciągnący się z tego miejsca nieomal aż pod sam Strumień. Rozmowa zesłała na Sposą.

— Mówią o nim, że daleko stąd nie uciekł — powtarzał wiadomości lokalne Tomczyński. — W jego parafii wre. Maci tam jakaś ręka ludziom w głowie.

— Nadal?

— Taki nie popuści!

— Dlaczego przypuszczacie że on?

— On jeden mógłby ze swojej kompanii, cała reszta siedzi.

I w lesie nie było płucem lżej. Ani oczom. Nieruchome chmury kurzu wznosiły się wysoko w górę, zajmując pełną szerokość drogi. Gąszcz leśny nie dopuszczał powiewu.

— Fanatyzuje obecnie tylko wieś — objaśniał Tomczyński. — Sugeruje modły za przywrócenie parafii jej kapłana. Za potępienie swoich prześladowców!

Naraz wydało się, że las zaszumił. Wszczął się jakiś ruch wśród drzew przysłoniętych całkowicie pyłem. Cztery koła wózka z trudem, skrzypiąc torowały sobie w piachu koleiny. Lecz ten monotonny dźwięk został teraz w pełni zagłuszony przez narastający, niespokojny szelest.

— Co to? — spytała Klimontówna.

Ale nie słowo dało jej odpowiedź. Tylko kamień. Jeden, drugi, trzeci, dziesiąty! Któryś z nich ugodził Klimontównę w policzek, rozdzierając głęboko skórę. Inny w konia, który skoczył. Piach jednak z marudną i tępą siłą trzymał za koła. I podobnie hamowałby krok, gdyby Tomczyński i Klimontówna przyszło do głowy zeskoczyć z wózka i uciekać. Teren tak był wybrany!

— Skulcie się! Schylcie! — krzyknął Tomczyński do Klimontówny. — Niżej! Niżej!

Ale ona właśnie w tym momencie wyprostowała się. Stanęła w wózku. — Słyszycie — zawołała. — Jeżowa Wola!

Padł nowy kamień, jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Lecz słuch kamieniących widać niegorszy musiał być niż słuch Klimontówny. Ręce z kamieniami się wstrzymały. Teraz i do uszu Tomczyńskiego doszedł z daleka niosący się śpiew.

— Nasi — szepnął dyrektor — szkoła!

Młodym ani upał, ani kurz, ani duszne powietrze, ani mordega całodzienną wycieczki na zakończenie roku szkolnego, nie odjęły głosu ni chęci do śpiewu. Szli widać sprężysto, bo pieśń narastała z chwili na chwilę. A w niej topniał zapach babek kościelnych i dewotek ze Strumienia. Dysząc, co prędzej oddalały się, wyrzucając w popłochu z zapasek resztę przyniesionych kamieni.

Słuchali przez chwilę, zamknawszy oczy. Klimontówna z wrażenia. Tomczyński, by lepiej słyszeć. Zdawało mu się nawet, że wyróżnia znajome głosy. Bronka Kulickiego i poszczególnych chłopców i dziewcząt z jego grupy wszystko świeżych absolwentów Jeżowej Woli: Teresy Jabłońskiej, nowej, etatowej siły jego szkoły; pana Śmieleckiego, od paru dni studenta czwartego roku historii. Ich głosy, i wielu innych.

— Wio, Kary — cmoknął, jedziemy naprzeciw!

ROZDZIAŁ XXVI

Wanda Uriaszewiczówna szła w słońcu. Na lewym rękawie pstrej sukienki czerniała się szeroka opaska z kiru. Z ciemnoniebieskiego słomkowego toczka spływał welon z krepy. Z ramion zwiślał nieodłączny plecak. Ciężył jak nigdy. Przekładała go po wyjściu od Sióstr Loretanek z ręki do ręki, ponieważ jej się zdawało, że w żałobie nie wypada mieć go na plecach. Ale leciał jej ze zmęczonych dłoni. Założyła go więc w końcu na plecy. A niech tam!

Bo co to była za żałoba! Bez sukni, jak się należy, bez czarnych bucików, bez odpowiedniego kapelusza. Cała żałoba to krepa. Na Wandę i na Tosię — jeden welon! Ani Caritas, ani Loretanki w tej mierze nie mogły panien Uriaszewiczównien wesprzeć. A w ogóle nie było wiadomo — czy chciały. Z miłosierdziem różnie bywa. Za najlepszych czasów Wanda nigdy nie pukała do jego drzwi bez niepokoju. Teraz zaś położenie się zmieniło. Na gorsze. Na znacznie gorsze.

Przystanąła, żeby się rozejrzeć, gdzie jest. Po wojnie nie była tu jeszcze. I tu domy się budowały. Z rusztowań dolatywały nawoływania. Ziemia dygotała od olbrzymich betoniarek. Lecz nawet w najmniej nerwowych okresach podobne sprawy nie docierały do świadomości Wandy. Cóż dopiero w takiej sytuacji. Sprawdziła więc tylko numer i powlokła się dalej. Miała przed sobą kawał drogi. Minęła dopiero pierwsze domy ulicy, a dążyła na jej odległy koniec.

Wreszcie zadzwoniła. Rozpytała się o wszystko w dyżurce. Zajęła na właściwe piętro. W mroku korytarza po dobrej chwili odnalazła separatkę. Lecz się wstrzymała. Jeszcze momentek. A jednak wciąż nie mogła dojść do ładu ze swoim sercem.

— Pani do panny d'Urcins?

Odwrociła się i spostrzegła utkwioną w siebie wzrok. Następnie wyróżniła w półcieniu czepek z naszytym czerwonym krzyżem. Lecz ani dla tego czepek, ani dla siwych wymykających się spod niego włosów, ni dla białego, nakrochmalonego fartucha nie miała Wanda Uriaszewiczówna oczu. Widziała tyl-

ko tacę, niesioną przez pielęgniarkę z kliniki, tacę pełną lekarstw, flaszek, ampułek, strzykawek, igieł! Na widok ten wzmogła się boleść Wandy. Tyle z jej pamięci przyzywał zabiegów, teraz już nieaktualnych.

— Ja z rodziny — odparła — z żalobną wieścią.

Podniosła rękę wskazując na krepe.

— Mama — z trudem wyszeptała słowo znane jej najdawniej ze wszystkich, lecz odkąd stało się nazwą kogoś, kogo już nie było, nie nauczyła się wymawiać je bez drżenia. — Matka.

Flaszeczki na tacy pielęgniarki zadźwięczały.

— Chorej — to słowo wybrała Wanda po sekundzie namysłu — i moja.

— A nie lepiej przedtem — zwróciła uwagę pielęgniarka — rozmówić się z doktorem.

— Miała już miejsce podobna rozmowa — odrzekła Wanda. — Nasza sąsiadka wczoraj przygotowała chorą na wszelką ewentualność.

— Chora opuszcza nas niebawem — napomknęła pielęgniarka. — Kli'nika zrobiła wszystko co było w jej mocy. Jednak do zdrowia pannie d'Urcins jeszcze bardzo daleko. Czynność niektórych stawów została uszkodzona tak ciężko, że grozi kalectwem.

Wanda skierowała się do separatki. Przekroczyła próg i zwrócona bokiem, nie patrząc na Joannę, próbowała zacząć rozmowę. Ale chłodny wstęp, który ułożyła z Tosią, ulotnił się jej z pamięci.

— Siądź — poprosiła Joanna.

Usiadła w nogach na brzeжку łóżka. Przez zaściśnięte usta nie przechodziło żadne słowo. Joanna, oniemiała w tym samym stopniu, miała w palcach rąbek welonu siostry.

— Opowiedz. — Pierwsza zdobyła się na przerwanie milczenia. — Kiedy?

Zamknęła oczy i to przyniosło ulgę Wandzie, chociaż nie ułatwiło jej rozmowy. Całą jej uwagę pochłaniała twarz Joanny, od której nie była zdolna oderwać oczu. Przerywała w połowie zdania.

— Wspominała mnie? — Głos Joanny przywoływał Wandę do porządku.

— Owszem — na to pytanie odpowiedź Wandy zadźwięczała twardo. — Tylko ciebie.

Na dodatek zaopatrzyła tę odpowiedź w słodko-kwaśny komentarz, ten sam jakim się pocieszały nawzajem z Tosią, i ten sam jakim usiłowały zawstydzić matkę za życia.

— Nowe sitko na korytko — powiedziała. — Sama rozumiesz!

— Daj spokój — raczej na ton niż na same słowa ze smutkiem zareagowała Joanna. — Daj spokój.

— Trudno czasem o spokój.

— Tylko niechęć przemawia przez ciebie.

— A co innego ma być. Zasłużyłaś sobie chyba na nią.

Lecz w rezultacie sztywność stopniała, kiedy spojrzenie Wandy starło się podczas tego krótkiego spięcia ze spojrzeniem Joanny. Stawy Joanny, lekko zgięte, owinięte sownie watą, okrycone flanelą, przypominały Wandzie starania o matkę, tak niedawne i tak uparte. Odezwały się one z całą siłą w pamięci Wandy, wobec tych wielkich, grubych kul, widocznych pod kołdrą, których miękkość wyczuwała przez swe tyloletnie obeznanie ze sprawą przewlekłej, ciężkiej choroby.

— Jak z twoim sercem? — mimowolnie padło z jej zasznurowanych ust pytanie.

— Złe.

— Zachodzą obawy komplikacji?

— Przy komplikacjach w chorobach tego rodzaju, co moja, serce jest, by użyć medycznego wyrażenia — usta Joanny rozchylił uśmiech ironiczny, tak częsty dawniej — szczególnie uprzywilejowane!

Joanna owinięła w czarny welon siostry swoją dłoń i przyglądała się jej uparcie.

— Oto po co wróciłam stamtąd — wyszeptała. — Żeby tu skończyć.

— To są głupstwa — zgorszyła się Wanda.

— Niedobrze chorować tam, niedobrze — umierać!

— Tylko żyć dobrze!

— Musisz koniecznie mieć ten ton?

Cichy, niski głos Joanny, naprzemian budził w Wandzie ciekawość, lub gniew. Wpadała w drugą skrajność — w oschłość, w obojętność. Myśl o Tosi pchała ją do ucieczki. I uciekłyby stąd w jednej chwili.

— A jeżeli już musisz — powiedziała z żalem Joanna — dowiedz się przynajmniej, czym było moje życie.

Zawahała się. Przed sobą nie przyznawała się do tego, do czego teraz chciała się przyznać siostrze. Okłamywała samą siebie i innych. Zwłaszcza ludzi, którzy niewiele wiedzieli o zagranicy. Zwłaszcza młodych, którzy niewiele wiedzieli o życiu.

— Tu sądzili — serce Wandy ścisnęło się — żeś zrobiła karierę.

— To był tylko błysk — z piersi Joanny wyrwało się westchnienie. — Olśniłam sobą wielki świat. Na moment. Bo wielki, szeroki świat, skąd wracam — nie uwierzysz — jaki jest w rzeczywistości zwięziony i malutki. Co wieczór pożąda nowości i nowości. Będąc artystką, trzeba mu co wieczór opowiadać nową bajkę, inaczej zabija. Nie znajdziesz jej, od razu zostajesz odepchnięty. Na próżno tu-



czesz się od scenki do scenki, od agencji do agencji, od poniżenia do poniżenia, od mężczyzny do mężczyzny. Ten świat wydał już na ciebie wyrok. Zamęczy cię.

Na dźwięk dzwonka baron Dubieński, rozparty przy biurku w mieszkaniu Hazy i pogrążony w rachunkach, wstał i szybko podszedł do drzwi. Żywszy w ruchach, zwinniejszy niż zwykle, reagował tak od wczoraj na wszystkie dzwonki u Hazy, który znikł nagle. Minęło już dwie noce i dzień od chwili, gdy go Dubieński widział po raz ostatni. A przez ostatnie miesiące prawie się nie rozstawali.

— Mieszkanie obywatela Hazy?

Ujrzawszy przed sobą trzech mężczyzn, jednego w mundurze, dwóch w cywilnych ubraniach, Dubieński na ułamek sekundy stracił mowę.

— Niestety — z przesadą uniósł brwi i tonem ubolewania powiedział — nieobecny.

Wylegitymowano go. Pokazał swoje zwolnienie z więzienia. W pokoju usiadł w kącie, wskazany mu i od czasu do czasu rzucał stamtąd uwagi, które w żadnym z przybyłych nie budziły zainteresowania. Wreszcie poproszono go, by się nie odzywał. Obserwował więc jedynie przebieg rewizji.

— O, panowie — rzekł uprzejmie i słodko, kiedy mężczyźni cywilni pochylili się nad papierami rozrzuconymi na biurku — szkoda czasu dla mojej nędznej pisaniny.

Nie odezwali się ani słowem. Zapytał w minutę później:

— Czy dym panom nie szkodzi?

Uznał gest, który wykonał jeden z cywilnych, za zezwolenie. Włożył do ust papierosa.

— Znam to mieszkanie jak własną kieszeń — wystąpił z propozycją — może panom pomóc w myśkowaniu?

Nie odczuwał lęku. Zastanawiał się wyłącznie nad tym, czy i jaki związek zachodzi między rewizją, a zniknięciem Hazy. Nie dopuszczał myśli, by jego dawny kompan mógł być aresztowany po tak niedawnym ujawnieniu. Nikt w podobnie krótkim czasie nie był zdolny sprawdzić jasności i braków w jego zeznaniach. O siebie był spokojny. Zmarli już przeciw niemu nie mogli świadczyć, a tego, który mógłby to zrobić, trzymał w garści.

Minęła godzina. Poprosił, by mu pozwolono przesiąść się z krzesła na tapczan. Na tapczanie rozciągnął się wygodnie. Nie tylko dla fasonu, ale i ze zmęczenia.

Ktoś zapukał do drzwi. Dubieński zerwał się automatycznie. Jednak nie on otworzył. Usłyszał głos kobiety, pytającej o Hazę. Wychylił się, by zobaczyć, kto przyszedł. Ujrzał przez szparę kobietę średniego wzrostu z plecakiem zwisającym z ramion, w żałobnym welonie, z opaską na rękawie pstrej sukienki. Nie znał jej. Była to Wanda Uriaszewiczówna, która chciała za pośrednictwem Hazy wypełnić przykry obowiązek zawiadomienia Konrada Uriaszewicza o śmierci matki. Wylegitymowano ją, i — również zatrzymano, lecz tylko do czasu ukończenia rewizji. Kiedy okazało się, że nie do wszystkich przetrzymanych w mieszkaniu Hazy stosuje się jednakową procedurę, Dubieński po raz pierwszy od przyjęcia milicji sięgnął po chusteczkę i otarł pot z czoła.

Potem powtórzył tę czynność kilka razy. Przy rewizji osobistej, gdy mu zadawano pytania i kiedy usłyszał:

— Wy, obywatelu, pójdziecie z nami.

— Szklanek wody — poprosił cicho.

Gdy mu przyniesiono, nie wypił. Wymówił się, że ciepła... Kiedy znalazł się na korytarzu, odkręcił kran i puścił strumień. Woda leciała a on badał, jakie istnieją możliwości wprowadzenia w czyn planu, który od dawna nosił w sercu na wypadek sytuacji, właśnie takiej, jaka się wytworzyła. Nie miał wątpliwości, że z nim jest źle. Usłyszał niewiele, wystarczająco jednak, by pojąć, że reszta jego zbrodni spod Żywca, a zwłaszcza tych najbardziej obciążających, spod Zamościa, nieznanym sądom, wyszła na jaw. Stało się dlań jasne, choć niepojęte zarazem w jaki sposób, że wpadł.

— Już, już — młócił w kółko jedno i to samo, podtykając palec pod strumień — już, już.

Nalał wreszcie sobie szklanek i odstąpiwszy od zlewu w stronę okna, przechylił ją do ust.

— Jakoś dzisiaj gorąco — rzekł — chce się czegoś zimnego.

I pijąc, przymknawszy oczy, poprzez swe długie rzęsy patrzył i patrzył. Aż wypatrzył sposobny moment. Dotknawszy ręką futryny okna skoczył na parapet. Odwrócił się. Jeszcze chciał coś rzec, rzucić jakiś dowcip, jakąś swoistą dla siebie słodko-kwaśną uprzejmość, czy docinek. Ale już na to nie znalazł czasu. Z rękami sztywno przyciśniętymi do boków, wybił się w powietrze i z czwartego piętra runął głową w dół.

ROZDZIAŁ XXVII

— Jakto zerwało? — Czeczuga podniósł się z krzesła i zmarszczywszy ogromne, siwe brwi, wpatrzywał się w Batorskiego, który właśnie przybiegł z latarni z tą złą nowiną.

— Nie widać na miejscu — rzekł Batorski. — Musiała ją znieść.

Roboty w Olikanie w ostatnich tygodniach, poszły naprzód. Grzebali się jeszcze przy falochronach, przy usprawnieniu magazynów, przy pracach organizacyjnych i na kursach. Ale sieć kolejowa była już gotowa. Dziesięć transporterów stało na torach. Dwie pogłębiarki kubitowe, czasowo w dyspozycji Birkuta, czynne od świtu do wieczora, kończyły przystosowywać do potrzeb żeglugi cały obszar wodny — redę, baseny, kanał główny i poboczne. Tor wodny oznakowano. U wejścia do portu były w uszy i w oczy cztery nowiutkie pławy

dźwiękowo-światłone, duma Olikany. Aż tu nagle Batorski mówi, że jedna znikła.

— Która?

— Oli, cztery — objaśnia Batorski. — Westowa dalsza.

Czeczuga w milczeniu otworzył szufladę, wyjął z niej zeissowską polówkę, poczem sięgnął po czapkę. Drzwi za nim zamknęły się cicho. Natomiast z korytarza na dziedziniec — z takim trzaskiem, że Batorski i Uriaszewicz, który znajdował się u bosmana, wzdrygnęli się. Wiatr, chociaż w nocy trochę się uspokoił, wiał nadal.

— Dawno ją ściągnęło? — spytał Uriaszewicz.

— Świeciła jeszcze godzinę temu.

— A może zepsuł się tylko błysk?

— Tak zrazu myśleliśmy, ale patrzymy: pusto!

— A nie świeci gdzie na wodzie? — odwrócił się Czeczuga.

Nad morzem, nad ziemią kłębił się wciąż zmieniający swą gęstość opar. Jasne luki przeplatały się z białymi, jak mleko, pasmami. Kopuła latarni zjawiała się, to nikła. Zjawiała się, to nikły budynki na lądzie, fale na wodzie a na niebie rdzawy krążek słońca. Wiatr dał z siłą. Od czasu do czasu rozlegał się ryk syreny.

— Na motorówkę — rzucił Uriaszewiczowi rozkaz Czeczuga. Batorskiemu zaś: bosak i lina!

Czeczuga pobiegł do latarni.

Dyżurny przez lunetę patrzył na morze. Światło pławy nigdzie się nie pokazywało.

— Pozwólcie — rzekł Czeczuga.

Nie zasiadł jednak do lunety, tylko stanąwszy obok, mocno się wychylił. Gdzieś na powierzchni morza pojawiały się skrawki nagiej wody. Nie wielkie, zamknięte, burzliwe jeziora, pełne nastrozonych fal. Syrena wyła. Wiatr huczał. Gdy syrena milczała, można było wyłowić z cisy dzwoniące pław. Przez opar mgły przebiegało ich światło. Niewyraźne, trzy lekko fosforujące punkciki. Bliżej od nich dwa błyski latarni wejściowych u głowic obu falochronów. Na tym koniec. Nigdzie czwartej pławy.

— Dzisiaj nikt nie wychodził na morze — przypomniał dyżurny.

— W taki czas! — zgorszył się na samą myśl Czeczuga.

Nadal badał morze. W skupieniu zastanawiał się nad kierunkiem. Prózne w tym wypadku zdawały się wszelkie obliczenia. Ale z drugiej strony trudno było zdecydować się ruszać na ślepo.

— Trudno — rzekł w końcu do siebie. — Tu się sprawy dalej nie posunie.

Nagle dostrzegł to, czego szukał i po co do latarni przyszedł. Brakujący błysk!

— A sprawdźcie jeszcze tak — na — stawili dyżurnemu lunetę na małe jezioro wśród mgły, które się właśnie utworzyło. — W tym rozwidnieniu. No?

— Jak byk — ucieszył się dyżurny. — Stoi. Jest!

Zerwał się, żeby Czeczuga mógł zobaczyć. Ale Czeczuga już nie było w dyżurce. Stał na moście, w miejscu, gdzie zawsze cumowano motorówkę. Patrzył przenikliwie Uriaszewiczowi w oczy.

— Wy? — spytał zdumiony. — A dacie radę?

— Nie narzucałbym się wam — przeprosił go Uriaszewicz. — Ale ani w kapitanacie, ani w pobliżu nie ma nikogo pod ręką. Ja przed wojną prowadziłem motorówkę. Teraz też.

— Widziałem — przyznał Czeczuga. — A pływacie?

— Nieźle.

— To kładźcie na siebie pas.

Po drugi pas ratunkowy zajął do budki strażniczej. Następnie przejął z rąk Batorskiego linę i bosak.

— Wracajcie na latarnię — rzekł. Na taką łupinę dwóch ludzi wystarczy.

Wskazał Uriaszewiczowi środkową ławkę, sam zasiadł przy motorze. Dopiero na pełnym morzu Uriaszewicz miał go zmienić.

Oddając ster Uriaszewiczowi, przypomniał: — Dziobem do fali, dziobem do bojki. A resztę zdajcie na mnie.

Przecięli awanport, minęli głowicę, przetrawersowali tor za nimi, prześlizgując się tuż koło westowej pławy, której nie zerwało. Za najbliższym poruszeniem, jeden z czterech luźno wiszących bijaków uderzył na niej w dzwon z całej siły. Dźwięk słyszany z bliska, był silny i świdrujący. Znak szczytowy, umieszczony na pławie, cztery metry nad poziomem morza, przy takiej chwiei pośród wysokich fal o równowagi. Skłaniał się do samej wody. Łódź tańczyła wśród wysokich fal o równowagi, wysokiach grzbietach, wśród dokuczliwego wiatru. Tańczyła również boja, lecz ruchy jej hamowała płyta zassana w dno, z którą wiązała ją łańcuch.

— Ster prawo!

Czeczuga zaparł się nogami na dziobie. Lornetka przy oczach, ilekroć gwałtowniej rzuciło, tłukła go w oczy. Szkła zalewała woda.

Odzywali się mało. Czeczuga zaabsorbowany był obserwacją, Uriaszewicz sterowaniem prosto na falę.

— Ster prawo. Jeszcze.

Chlusnęło na nich zdrowo. Nie pierwszy raz i nie ostatni. Oczy bolały, z zimna zęby szczękały, ręce grabiły.

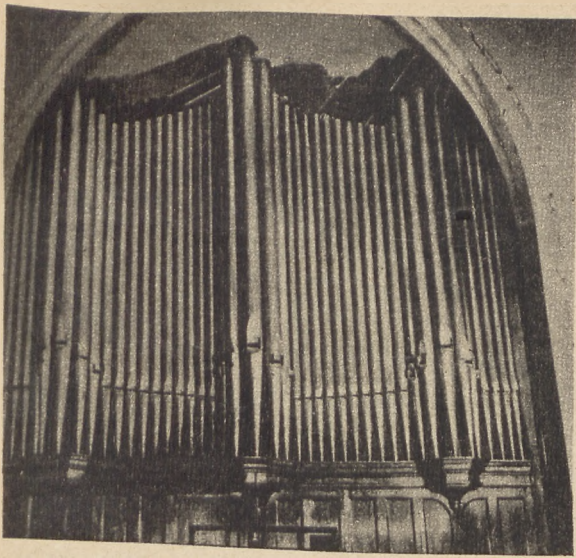
Obaj nasłuchiwali. Przez szum grzywaczy i wiatru, przez terkot motoru przebiegał się ku nim dźwięk boi. Z trudem dawało się ustalić stronę, skąd dochodził głos. I najwyżej na chwilę. Zaraz inne hałasy całkowicie go zagłuszały. Przepadał i po dłuższej chwili słychać go było znowu. Lecz z innej strony.

— O! — wskazał Uriaszewicz kierunek.

— Ster lewo — rzucił Czeczuga.

Nasłuchiwali.

Dalszy ciąg nastąpi



ROZMAWIAMY O MUZYCE

POTOMSTWO KOBZY

OSTATNIM z instrumentów wchodzących pojedyn-
czo w skład orkiestry symfonicznej, lecz ma-
jących wielkie znaczenie dla jej brzmienia są —
organy. Zdarza się czasem, że ludzie niewysocy sta-
ją się rodzicami olbrzyma, który patrzy na otocze-
nie z wysokości swych 2 metrów wzrostu. Podobnie
rzecz się ma z organami, jako że przodkiem ich
jest... kobza. Z małego mieszka i kilku piszczałek
tego starego wiejskiego instrumentu zostały rozbud-
owane poprzez wieki olbrzymie instrumenty orga-
nowe, wstrząsające swym dźwiękiem stropami sal
koncertowych i nawami kościołów.

Początki organów są dawne, jeśli zważyć, że ulu-
bionym instrumentem władcy Rzymu, Nerona, nie
była — wbrew mylnej legendzie — lira, lecz były
nim właśnie organy. Pierwsze organy w Polsce zo-
stały zbudowane w Toruniu już około roku 1300.

Dźwięk wydobywa się z organów przez napędze-
nie powietrza do ich piszczałek. Dawniej napęd
odbywał się przy pomocy skórzanego miecha, po-
ruszanego przez człowieka, zwanego popularnie „ka-
likantem”, lub — obraźliwie — „dławidudą”. Dziś
rolę kalikanta przejęła na siebie elektryczność.

Napędzone powietrze nie od razu dostaje się do
piszczałek. Wstępu bronią mu zastawki, które sprzed
wlotu do poszczególnych piszczałki usuwa grający
przez naciśnięcie na klawisz ręczny (z łaciny: ma-
nuał), lub nożny (pedał).

Piszczałki organowe są metalowe (różne odmiany
stopu cynku i ołowiu) i drewniane. Wbrew temu,
co mogłoby się wydawać, największe piszczałki, do
wydobywania najniższych i najpotężniejszych tonów,
nie są metalowe, lecz właśnie drewniane.

O wysokości tonu w piszczałce decyduje jej dłu-
gość, lecz o barwie tonu inne cechy, jak kształt
piszczałki, szerokość, siła napędu powietrza itd.,
stad organy dzielą się na wiele grup piszczałek.
Wszystkie te, które wydają dźwięk o **Jednakowej**
barwie, choć różnej wysokości (od najniższych, idąc
w górę skali tonów, do najwyższych) stanowią jedną
grupę zwaną „glosem”.

A „głosów” organy mają wiele. Od 10 w małych
instrumentach do 100 i więcej w instrumentach
wielkich. „Głosy”, poprzez różnicę barwy, naśladują
dźwięk najrozmaitszych instrumentów smyczkowych
i dętych, a nawet śpiew ludzki. Jeśli teraz zważyć,
że na każdy „głos” składa się kilkadziesiąt piszcza-
łek, to łatwo zrozumieć, że piszczałki organowe wie-
doczne w instrumentie od zewnątrz są zaledwie
częstką całości, na którą nieraz składa się kilka
tysięcy różnej wielkości rur z metalu i drzewa. Te
piszczałki widoczne od zewnątrz są jak gdyby tylko
oknem wystawowym, za którym kryje się wnętrze
sklepu bogato zaopatrzonego w dźwięki.

Organista!... — Zwykło się o nim mówić z od-
cieniem lekceważenia, jako o postaci zbliżonej do
kościelnego zakrystiana. Tymczasem gra na orga-
nach jest niezmiernie trudna i wymaga najwyższej
klasy artyzmu. Organista siadając do instrumentu
ma przed sobą kilka klawiatur ręcznych — manua-
łów, pod nogami klawiaturę pedałową, a prócz tego
— pod i nad manualami — wiele dziesiątków gu-
zików do przyciskania, względnie hebli do wycią-
gania. Te przyciski i wyciągi zwą się rejestrami
i one właśnie zmieniają „głosy” w instrumentie.

Posłuchajcie któregoś z koncertów organowych
Rozgłośni Wrocławskiej i w swym prywatnym re-
jestrze muzycznych szanowności ustawcie organi-
stów wysoko.

JERZY WALDORFF



O NARCIARZACH I ŚNIEGU

NARCIARZE trenują!

Powie ktoś, że w połowie stycznia fakt ten
przestał być sensacją. Być może, ale od niedaw-
na. Bo przypomnijmy sobie komunikaty śnieżne
z Zakopanego.

Październik: śniegu nawet na przysłowiowe le-
karstwo.

Listopad: tak samo.

5 grudnia: jak wyżej.

10 grudnia: nie ma. Przepraszam, nie przesadzaj-
my. 10 grudnia już był. No, ale przyznajmy, zbyt
późno jak na wymagania sportowców, którzy zaj-
mują się narciarstwem. Co prawda mógłby ktoś po-
wiedzieć, że dla chcącego nie ma nic trudnego i że
był w Polsce narciarz, członek zrzeszenia sporto-
wego „Kolejarz” — Penkala, który jeździł na płat-
kach śniegu pod Świnicą prawie całe lato. Jeździł,
istotnie. Ale nie wyobrażajmy sobie, że wszyscy
polscy narciarze „zmieściliby się” na tych płatach.

Dość, że śniegu mamy teraz w ilościach wystarcza-
jących i kadra narodowa narciarzy trenuje już od
miesiąca pod opieką Orlewicza, Kozdruń, Lipow-
skiego oraz St. Marusarza.

Początek był trudny. Winę ponoszą w pewnej
mierze zrzeszenia sportowe, które nie przeprowa-
dziły zaprawy letniej (poza „Kolejarzem”) oraz
długotrwały brak śniegu. Rozpoczęto więc treningi
od marszów i biegów wprawdzie bez nart, ale z kij-
kami.

Na pierwszy trening „śnieżny” wyszli narciarze
na Halę Kondratową. Cieszyli się tym śniegiem

codziennie po parę godzin, prosząc los o opady
w niższych rejonach.

Skoczkowie pracowali najsolidniej. „Dziadek”
Marusarz i trener Kozdrun ułożyli plan, według
którego każdy skoczek musiał oddać przynajmniej
70—80 skoków na małych skoczniach terenowych.
Ponieważ nie mamy ich tak dużo i o tak różnych
profilach jakich wymagali srodzy nauczyciele, nar-
ciarze musieli budować je sami ze śniegu. I tak
doszli od skoków kilkumetrowych na małych
skoczniach do kilkudziesięciometrowych na dużej
Krokwi. Najlepszą formę wykazują dziś Kula, Taj-
ner i St. Marusarz.

Zjazdowców „męczy” Lipowski. Zaczęli oni tre-
ning od najprostszych bramek i stopniowo prze-
chodząc przez coraz bardziej skomplikowane figury
doszli już nawet do „prawdziwych” zjazdów. Wy-
niki są różne. Wczoraj najlepszym był Stańco, dzi-
siaj Dziedzic, jutro znów będzie kto inny.

Najmniej kłopotu jest z biegaczami. Jeździ taki
po niewielkiej pętli i czeka na śnieg w nizinach.
Coprawa ich trening nie jest najlżejszy, a trener
Orlewicz ma dobre oko i wszystkie błędy natych-
miast zobaczy.

Trochę kłopotu sprawiają kobiety. Nie poprawiły
one jeszcze wyników w stosunku do osiągnięć z lat
poprzednich. Jednak, wzięwszy pod uwagę ostre
i bardzo starannie przeprowadzane treningi, może-
my być spokojni o formę naszych zawodniczek
i zawodników.

STANISŁAW PIOTROWSKI



Staszek Marusarz z uwagą śledzi skoki kolegów.
Skaczą dobrze, choć jest dopiero początek sezonu.



Slalom — to jedna z trudniejszych konkurencji.
Polscy narciarze osiągnęli w niej doskonałe wyniki.

SWIAT o tym wie!

ZARAZA AMERYKAŃSKA

Kajdanki i pałka policyjna, atomowy pistolet, samolot raketowy — oto, co dzieci amerykańskie znajdowały pod choinką w roku 1951. A

stępców zanotowano w rejestrach policyjnych Stanów Zjednoczonych w ciągu jednego roku. Kilkanaście tysięcy młodocianych narkomanów



na, przestępczość wśród młodzieży wzrasta w straszającym tempie. Oto wiązanka nagłówków z prasy zachodni-niemieckiej: „Siedemna-stoletni morderca”,

„Dziewięcioletni chłopiec powieszony przy zabawie”, „Bawił się w samobójcę”, „Młodociani przestępcy mordują przekupkę” etc.

TWARZA DO ZIEMI

„Kłopot z bombą atomową polega na tym — oświadczył pewien polityk amerykański — że my, którzyśmy jej pierwsi użyli i najchętniej straszymy nią innych, jesteśmy sami w największym strachu”. Histeria atomowa w Stanach Zjednoczonych osiągnęła takie natężenie, że władze podjęły próbę jej rozładowania. W tym celu urządzono w Nowym Jorku „alarm atomowy”, podczas którego demonstrowano „środki zapobiegawcze i ratunkowe”.

Organizatorzy alarmu, którzy zapomnieli już widocznie o tym, co prasa amerykańska wypisywała na temat strasznych następstw wybuchu atomowego, znaleźli tani i prosty sposób zabezpieczenia się przed skutkami bomby: oto kazali ludziom przykrywać się gazetami, albo po prostu kłaść się twarzą do ziemi. Tak właśnie, jak widzimy na zdjęciu, dokonany w jednej ze szkół nowojorskich podczas „alarmu”.

Jak widać, amerykańscy podżegacze wojenny usiłują wmówić



swym rodakom, że bomba atomowa jest najbardziej cudowną ze wszystkich „Wunderwaffen”: w Japonii zmiotła z powierzchni ziemi całe miasta, ale za to w Ameryce wystarczy się przykryć papierem albo wręcz odwrócić do niej tyłem, by przestała być groźna...

EJA, EJA, ALALA!

We Włoszech pod rządami de Gasperiego dzieje się to samo, co w

wiony został w roku 1950 i wyszedł z więzienia na wolność.



Niemczech zachodnich pod rządami Adenauera. Faszystowscy generałowie są znowu górą. Marszałek Graziani, były wice-król Abisynii i ostatni za rządów Mussoliniego minister wojny, skazany w swoim czasie na dożywotnie więzienie za zdradę kraju i zbrodnie wojenne — ułaska-

Dziś marszałek Graziani stanął na czele federacji byłych wojskowych włoskich. Faszystowskim ukłonom wita Graziani zjazd federacji, na którym z rozrzewnieniem wspomniano „Il Duce”, i śpiewano „Eja, eja, alala” (refren „Giovinazzi” — faszystowskiego hymnu).

KTO POTRAFI — NIECH WYMÓWI



Najdłuższą na świecie nazwę posiada stacja kolejowa w Walii, której pełna nazwa brzmi Llanfair-pwllgwyngyllgogerychnyddrouhlilantysiliogogoch (zresztą porównajcie ze zdjęciem, bo korekta na pewno puści błąd).

Gdy pociąg zatrzymuje się na stacji, konduktorzy

wywołują tylko „Llanfair W”, gdyż wywołanie całej nazwy powodowałoby chroniczne opóźnienie odjazdu pociągów. Albowiem postój według rozkładu jazdy trwa jedną minutę. A ile czasu wymaga odczytanie pełnej nazwy — spróbujcie obliczyć, jeżeli zdołacie ją wymówić,

MAGDALENA SAMOZWANIĘC

FRASZKI

RYZY PAPIERU

Terminowej umowy niosąc w głowie kierat Papieru na próżno szukał ten literat.

W końcu rzekł: (sytuacji trafna analiza)

„Że widocznie ktoś papier trzyma mocno „w ryzach”

PO OPERACJI WYROSTKA ROBACZKOWEGO...

Z operacji wracając, stary chirurg siwy

Przez chuligana z tramwaju wypchnięty na szyny

Rzekł: — „Chciałbym wreszcie dożyć tej godziny

By „wrostki” usunięto — „robaczywe”...

MIŁOŚĆ W LITERATURZE WSPÓŁCZESNEJ...

Skarżyła się MIŁOŚĆ, że z pisarskiej mafii

Nikt dziś o miłości pisać nie potrafi.

Rzekła: — „Zapomnieli ci pisarze młodzi

Żem nie tylko romansem — umiem dzieci rodzić! —

Dzieci przyszłość Narodu — radość, mówiąc prościej,

Więc, w cieplejszych słowach piszcie o MIŁOŚCI...

MIEDZY POKATNYMI HANDLARZAMI ŚWINI

Ze mu towar za drogo ocenili

Już wyzwiska tamtemu z ust płyną,

Jednak przez pomyłkę miast: ŚWINIO!

Wykrzyknął: „TY MOJE MARZENIE!”

Bohdan Czeszko

POKOLENIE

POWIEŚĆ MŁODEGO, UTALENTOWANEGO PROZAIKA. TEMATEM JEJ JEST DZIAŁALNOŚĆ MŁODZIEŻY ROBOTNICZEJ W OKRESIE OKUPACJI W SZEREGACH ZWM, WALCZĄCEGO O WYZWOLENIE SPOD HITLEROWSKIEGO JARZMA I O POLSKIE LUDOWĄ.

STR. 246

ZŁ 12.30

„CZYTELNIK“

Z prasy: We francuskich kołach rządowych występuje z projektem przeniesienia stolicy Francji z Paryża.



Kys. 1015

Eisenhower: Zapomniałem panom powiedzieć, ale stolicę Francji już dawno przeniesiono do Waszyngtonu.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

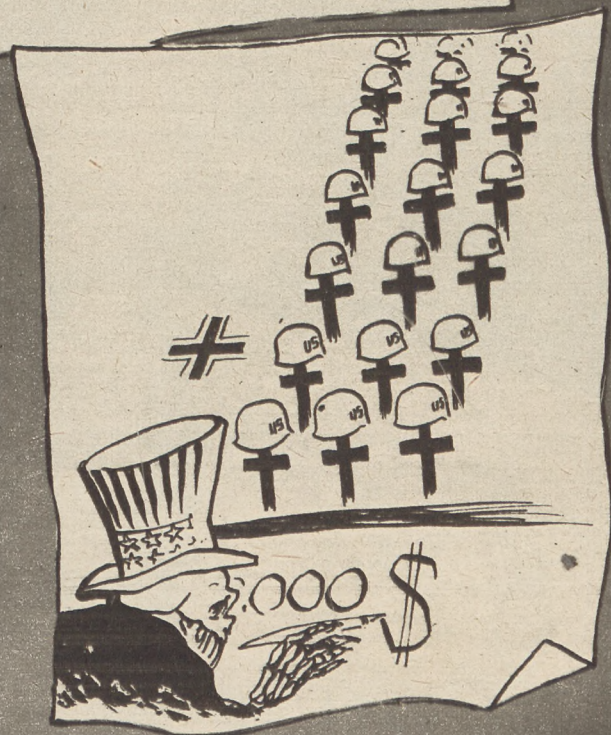
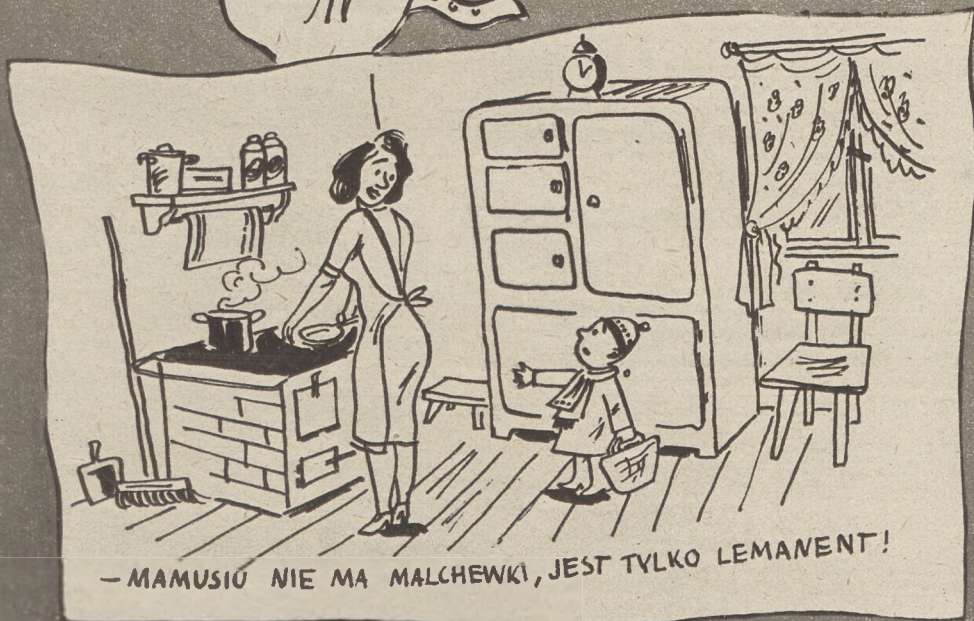
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.80 — kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna 57.60. Należność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr 1-21040/110.

Zakłady Wklesłodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, Okopowa 58. 3-B-10947

1951 REMANENTY

nysowali:
FLISAK
KOBYLIŃSKI





„KWITNĄCA UKRAINA”

TA UŚMIECHNIĘTA DZIEWCZYNA, TO JEDNA Z BOHATEREK RADZIECKIEGO FILMU DOKUMENTALNEGO „KWITNĄCA UKRAINA”